Nr. 10. Lwów, dnia 1. Października 1893. Rok XVI.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franków.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Z zatargów rodzinnych i z ekonomii łowieckiej.

Napisał

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

IX.

Z przedmiotu rozrywki możnych stało się łowiectwo gałęzią bogactwa krajowego i jako takiem opiekuje się niem prawo; lecz oprócz tego opiekować się niem musi każdy obywatel kraju, mając w tem i swój własny interes na oku.

Koniecznym warunkiem do ogólnej opieki są środki przemawiające najbardziej do każdego przeciętnego człowieka, a temi są: korzyści realne. Lukratywność łowiectwa a tania przytem zwierzyna, zdziałałyby tu więcej, wywołałyby więcej opiekunów i obrońców, niż tomowe tyrady, niż wszystkie choćby najmądrzejsze ustawy. Niestety jednak, poruszanie łowiectwa z punktu ekonomicznego, wywołuje u wielu jeszcze dziś minę niedowierzania, jeżeli już nie uśmiech ironii, pomimo, iż przykłady z innych krajów jaskrawego dostarczają dowodu, iż racyonalne łowiectwo, oprócz zalet innego rodzaju, posiada i tę ważną zaletę, iż się opłaca. I tak być musi, bo leży to w naturze rzeczy, a gdzie jest inaczej, tam istnieją jakieś anormalne powody.

Organizm zwierząt roślinożernych jest maszyną, przerabiającą ziemiopłody na rozmaite wytwory spożycia, a jeżeli racyonalna hodowla zwierząt domowych, które spożywają w wielkiej części płody ziemi pracą i kapitałem wydobyte, jest źródłem bogactw całych narodów, to dlaczegożby hodowla zwierząt dzikich, które spożywają niemal przez rok cały płody ziemi niedające się w inny sposób wyzyskać, miała przedstawiać zawsze tylko negatywne rezultaty?

Stosunki ekonomiczne jako też siedliskowe wielu krajów wskazały na chów zwierzyny jako na przedsiębiorstwo korzystniejsze, niż wyzyskanie ziemi przy pomocy zwierząt domowych. Nie mówiąc już nic o świetnie udanych próbach tego rodzaju w rozmaitych częściach świata, wspomnę tu jedynie o wprowadzeniu hodowli jeleni na wyżynach szkockich na wielką skalę, gdy konkurencya wełny australskiej uniemożebniła praktykowany tu dotąd chów owiec. Zwierz dziki wystąpił tu zatem jako konkurent produkcyi z domowcami prastarej kultury. Dlaczegożby ten sam zwierz nie przedstawiał i tam korzyści, gdzie nie idzie o konkurencyę, a stosunki siedliskowe bardziej zwierzynie dzikiej, niż zwierzętom domowym sprzyjają?

Łowiectwo zatem powinno dostarczać zdrowego a taniego stosunkowo mięsa, bo z natury posiada ku temu potrzebne warunki, zwierzyna zaś tem samem stać się powinna przystępną dla szerokich kół, a nie być przywilejem myśliwego lub stołów, których *menu* jest i tak bardzo obfite i różnorodne. Okoliczność ta przejednałaby nawet i tych wszystkich nieprzyjaciół łowiectwa, którzy nie mogąc dość słów wyszukać, aby potępić to „próżniacze i brutalne rzemiosło“, wylewają całą swą żółć na łowiectwo, może tylko dlatego, że zwierzyna jest dla nich zawsze jeżeli nie zakazanym, to przynajmniej zbyt trudnym do zdobycia owocem.

Postęp uprawy rolnej z każdym rokiem ścieśnia granice produkcyi mięsa. Intenzywna uprawa każe pługiem wyzyskiwać wszelkie obszary: pastwiska naturalne, step, ginie w naszych oczach, pozostają tylko pojedyńcze pasemka ziemi jako pastwiska, pasemka, na których z rozmaitych względów agronomicznych nie dadzą się przeprowadzić zmiany kultury, bo są to przeważnie morskie żuławy, porzecza i połoniny. Z drugiej zaś strony przebija się w nowoczesnem rolnictwie gorączkowe dążenie pozbycia się balastu, jakim st nawóz stajenny, a raczej owej fabryki nawozu, którą jest dobytek gospodarski.

Gdy więc pod nawałą coraz większej ludności i kolonizacyi wysychają coraz bardziej źródła, skąd jeszcze w naszych czasach płyną główne masy najlepszej jakości bydła rzeźnego, — statystyka zaś wykazuje bezustanne zwiększanie się konsumcyi mięsa i cen tegoż, i kraje europejskie zwiększonej potrzebie nie mogą jaż wydołać — przybiera szerokie rozmiary import bydła jakoteż mięsa z dalekich stron drugiej półkuli, i w ostatnich czasach najrozmaitszego rodzaju konserwy mięsne zalewają targowiska Europy. Lecz i to są dla owych zamorskich krajów przelotne tylko chwile, i tam upływają coraz widoczniej idyliczne wieki stepowego pasterstwa, giną bezpowrotnie stada dzikich bawołów i step czarny prują coraz głębiej narzędzia kultury, a dziewicza jeszcze ziemia zaludnia się coraz bardziej wychodźcami głodnych lub nieszczęśliwych krain Europy. Na ziemi o tak niedawnej romantycznej przeszłości, na tym teatrze powieści Coopera i Irwinga, powstają coraz większe dzieła kultury tak, iż dziś na obu już półkulach z każdym rokiem zmieniają się granice wychowu i naturalnego wypasu bydła, rozszerzają się zaś obszary rolnej uprawy.

Wszystkie te okoliczności możeby jeszcze nie wpłynęły na zmniejszenie się produkcyi bydła, bo przy intenzywnem rolnictwie, sztuczny a konieczny chów bydła możeby wynagrodził powstałe braki. W najnowszych jednak czasach zuchwała ręka myślicieli wstrząsnęła znów podstawami dotychczasowego rolnictwa, pragnąc rozerwać odwieczny węzeł, łączący go z chowem bydła, wstrząsnęła daleko silniej i skuteczniej, niż to się działo przed laty, gdy podobna myśl odbierała sen największym z uczonych swego czasu, lecz była jeszcze zbyt doktrynerską, aby znaleźć poparcie doświadczenia.

Teorya mineralna, jako przeciwstawienie teoryi azotohumusowej, nie mogła przyjąć się w formie ówcześnie podanej i wywołała cały chaos polemiki teoretycznej. Lecz kiełek wielkiej myśli Liebiga i jemu współczesnych odżył znów w naszych czasach, pomimo, iż teorya jego smutną po sobie zostawiła pamiątkę, bo nawozy według wskazówek Liebiga przez słynnego Muspratta wykonane, nie odpowiedziały wymaganiom rolników, a to z przyczyny, iż Liebig, przypisując zbyt wielkie znaczenie azotowi atmosferycznemu, nie uwzględniał go należycie w swych nawozach, że substancye żywności roślinnej nie znajdowały się w nawozach tych w stanie tak rozpuszczalnym jak tego rośliny wymagają, a wreszcie, iż nieznanem było podówczas dostatecznie działanie nawozu na fizyczne własności roli, którego przyczyny nie w samychże nawozowych składnikach szukać należało.

Nie miejsce tu wchodzić w roztrząsanie tego, co w dalszym rozwoju pierwotnej myśli wielkiego chemika zdziałano, faktem jest wszakże, iż dziś głośno rozbrzmiewa w literaturze rolniczej twierdzenie, iż utrzymanie trwałej żyzności ziemi i korzystna produkcya ziemiopłodów bez nawozu bydlęcego, jest możebną, co bynajmniej nie wyklucza jeszcze lepszego wyzyskania ziemi przy racyonalnym chowie bydła, jeżeli stosunki na to zezwalają. (*Stallmist oder Kunstdünger Dr. M. Märcker str. 15 — Gründüngung u. System Schultz Lupitz auf Lehmboden v. F. Anrndt. Die Kalidüngnng auf leichtem Boden von Schultz Lupitz 4 Aufl. 1890*). Środkami do utrzymania trwałej żyzności ziemi w takich gospodarstwach bez bydła mają być nawozy zielone, uprawa roślin azot gromadzących (łubin, groch, wyka, konicz i t. p.) a wreszcie użycie wszechstronne nawozów sztucznych, które pod względem chemicznym składniki nawozu stajennego zastąpić mogą, zwłaszcza, gdy są użyte w tej formie i stanie, w jakim ich dostarczają pod rządową kontrolą zostające fabryki.

Teorye te, w części już i w praktyce zastosowane, są jeszcze zanadto świeże, aby ośmielić mogły do wypowiedzenia, iż czasy nawozów stajennych już minęły; długie jeszcze lata wyczekiwać trzeba cierpliwie objawów, jakie ten system, tak teoretycznie usprawiedliwiony, wywoła w tej wielkiej retorcie, gdzie nie zawsze może chemik przewidzieć skutki działania. Pewnikiem jest jednak, iż znajdujemy się na drodze co raz to większej niezawisłości rolnictwa od chowu bydła, a coraz większa możliwość zbytu w przemyśle tych produktów rolnictwa, które chyba tylko chowem bydła dały się dotąd zużytkować, przyspieszyć może reformę głównej produkcyi ziemi.

Dopóki użycie nawozów sztucznych, a mianowicie nawozów mineralnych z pokładów soli potasowych, fosforytów, azotanów jakoteż organicznych z poza danej uprawy rolniczej pochodzących, niema ogólnego zastosowania — dopóty uprawa rolna w swej całości wzięta, jest rabunkową, dopóty i utrzymanie statyki wogóle jest rzeczą niemożliwą. Coraz więcej wycieńcza się dostępne rolnictwu pokłady ziemi, a wreszcie nastąpić musi zmniejszenie ogólne żyzności ziemi, którą długowieczna uprawa pozbawiła i zasobu rozpuszczalnej żywności roślinnej. Rozkładowi i zużyciu uległy zwolna cząstki t. z. szkieletu ziemi, które długo podtrzymywały swym powolnym rozkładem urodzajność gruntu. Nawóz, uzyskany bez przykupna środków pokarmowych z zewnątrz, może tylko cząstkę tego zwrócić, co się z ziemi w plonach zebrało, w gospodarstwach zaś, gdzie wyżywienie zwierząt dobytkowych odbywa się przy pomocy skarmiania dokupionych płodów rolniczych, może się wprawdzie podnieść żyzność ziemi na jednem miejscu, lecz odbywa się to koniecznie kosztem zubożenia tych ziem, z których dokupione materyały pokarmowe pochodzą. Ogólna statyka rolnicza cierpi tu zatem, pomimo iż w pewnych punktach dochodzą do szczególniejszego stopnia zasobności. Dopiero zasilenie ziemi nawozami, z zewnątrz rolniczej kultury pochodzącemi, jest prawdziwem wzbogaceniem i warunkiem ogólnie zwiększonej produkcyi rolniczej, co znów nie zawsze i nie w każdych stosunkach ekonomicznych jest prawdziwą korzyścią, a oczywistą stratą, gdy koszta utrzymanie statyki rolniczej przewyższają zyski ze zwiększonej żyzności ziemi płynące.

Jako rolnik, a zatem z zawodu konserwatysta, pragnąłbym jak najdłużej nie rozstawać się z tą liczną menażeryą, sprawiającą więcej kłopotów niż przyjemności, którą, mówiąc *antiquo more*, „dla nawozu“ się utrzymuje; przykro by mi było zostać zdegradowanym na wyłącznego fabrykanta chleba, któremu by pozostawała tylko do wyboru pewna produkcya zwierzęca, niebędąca przymusowym warunkiem rolnictwa. Naprowadziłem jednak to wszystko, pomimo, iż pokolenia nasze utrzymywać jeszcze będą przez długie czasy menażerye „dla nawozu“, celem wykazania, iż wieje już prąd, prowadzący do coraz to wyższych cen mięsa, i że na tem polu produkcya mięsa naturalnemi stosunkami ograniczona, jaką jest nowoczesne łowiectwo, wytworzyć może konkurencyę nie do pogardzenia.

Prąd ten wywołał w łowiectwie aklimatyzacyę pewnych gatunków zwierza w celu masowej produkcyi mięsa, a do takich zaliczyć należy hodowlę królika dzikiego (*Lepus cuniculus)*, zwierza ze wszech miar dla kultury wszelkiej szkodliwego. Już sama rozmnoża królika jest zastraszająca, 7 razy do roku po 8 mniej więcej królicząt, to świat się może skróliczyć — a gdy dodam, że królik jest jeszcze o wiele grymaśniejszym specyalistą w szkodzie, jak którekolwiek z naszych zwierząt dzikich, że kryje się w norach, urągając wszelkim łowieckim sposobom, bo częstokroć i łowy z łasicą nie dopisują — to wszystko to razem wziąwszy, nie można być bardzo zachęconym do hodowli królika dzikiego, zwłaszcza, że na opanowanym przez niego terenie i zając ulega zatracie.

Wiele mógłbym tu dać przykładów z rozmaitych krajów, w których po rozmnoży królików ogłaszano je jako wyjęte z pod prawa, płacono premie za ich tępienie, a wreszcie chwycono się najohydniejszego, a jednak w tym razie nieuniknionego środka, tj. szczepiono zaraźliwe choroby w ich stadach, aby się tylko pozbyć plagi, jaką się stał ten zwierz na pozór pożyteczny.

Klimat nasz poczciwy, chroniąc nas już nie od jednej klęski, ochronił nas i od królików i od wszelkich eksperymentów z niemi, od których trzeba się ze wstrętem obrócić, nie będąc nawet wcale sentymentalnego usposobienia. Zwierz ten, pochodzący pierwotnie z południowych klimatów, niebardzo się zgadza z naszym podniebiem, a w każdym razie okazuje się o tyle w naturze swej zmienionym, iż ponajwiększej części zamierał pomimo najszczerszej chęci swych opiekunów. Prawdopodobnie oprócz klimatu, przyczyniały się do tego i rozmaite drobne drapieżce, których u nas jest wszędzie mnóstwo, a które wyłącznie mogą swemi zwinnemi ciałami dostawać się nito gady w podziemne mieszkania królików, i wyniszczać tam wszystko do nogi.

Gdzie tylko klimat i stosunki odpowiadają rozmnoży królika, tam ani ochrony ani innych starań zwierz ten nie wymaga, i tylko bardzo energiczne tępienie może w jakichś znośnych granicach utrzymać ten zwierzostan. Nieznaczne bardzo różnice klimatyczne Szlązka są już o tyle wystarczające dla hodowli królika, iż aklimatyzacya udaje się tam aż nadto dobrze, tak dalece, iż w kołach towarzystwa leśnego na zgromadzeniu r. z. obudziła rozmnoża aklimatyzowanych w pewnych miejscowościach królików poważne obawy. Na zgromadzeniu tem opowiadał jeden z członków, iż z jednej pary wpuszczonej do rewiru w r. 1871 doszła rozmnoża po 13 latach, pomimo ciągłych na nie łowów, do tego stopnia, iż znajdowało się w rewirze 8000 sztuk. Zastraszające to błogosławieństwo stało się wkońcu taką plagą okolicy, iż szkody w lesie i w polu na tysiące liczyć wypadło, a w jednym tylko roku wypłacono włościanom 3.400 marek odszkodowania. Z królików tych ubito wciągu 5 lat 17.213 sztuk, lecz jak zapewnia sprawozdawca, były one mniej warte niż koszta uciążliwych łowów. Rezultatem doświadczeń z hodowlą królików na Szlązku była tedy ogólna zgoda wszystkich ziemian, iż zwierzę to uważać należy stanowczo jako plagę leśnictwa i rolnictwa, a drogą i dość nędzną zabawkę. Wskutek tego wyroku mianowano królika dzikiego dokuczliwem i szkodliwem plugawstwem *(Ungeziefer)*, niemającem nawet z czysto łowieckich względów prawa do życia.

Próby aklimatyzacyi w innych częściach świata, a osobliwie w Australii udały się ponad wszelki wyraz, bo gryzonie te opanowały zupełnie pastwiska owcze, tak, iż musiano rozpocząć walkę eksterminacyjną, która podobno trwa jeszcze ciągle. Niedający się opanować chów dzikich królików, które w sprzyjających okolicznościach wnet uzurpują całość ziemi dla siebie, nie może należeć do zadań postępowego łowiectwa. Królik powinien pozostać jako zwierzę domowe małego gospodarstwa w hodowli ściśle sztucznej, gdyż zalecany tak często dla włościan chów półdziki na wolnych miejscach, według tego co widziałem, iluzoryczne tylko przedstawić może korzyści. Królik na wolnej stopie to niby mysz wielka: je przeróżne rzeczy, częstokroć niedające się inaczej zużytkować, czem się też bardzo radują zwolennicy takiego chowu, ale zarazem uszkadza wszystko — i staje się jednym fałszywym tonem więcej w tym koncercie nieładu, jakim i tak się odznacza zazwyczaj najbliższe otoczenie mieszkań naszego włościanina.

Nie wspominam tu o aklimatyzacyi innych zwierząt łowieckich, gdyż rzecz ta leży w dalszych planach przyszłości, stosunki zaś naszych rodzimych zwierzostanów z małemi wyjątkami tyle pozostawiają do życzenia, iż dosyć pracy potrzeba jeszcze na tem polu, abyśmy z naszą zdobyczą łowiecką wystąpić mogli na arenę konkurencyi europejskiej. Łowiectwo nasze, jakto coroczna statystyka wykazuje, nie daje jeszcze wyników dodatnich, wskutek czego brak owego *nervus rerum*, przemawiającego jedynie do nieamatora i powodującego ogólne poszanowanie dla tej gałęzi gospodarstwa. Jest tu jeszcze stan przejściowy, w którym panują i zapleśniałe wyobrażenia, nielicujące z duchem czasu, i gorące porywy przeplatane apatją, a wszystko razem staje się zaporą tem większą, że nieuregulowane stosunki ziemiańskie wewnątrz kraju nie dozwalają zwalczać skutecznie rozmaitego rodzaju trudności.

Najlepsze chęci rozbijają się częstokroć wśród nieskomasowanych gruntów, wśród niezliczonych enklaw obcej własności, wśród niejasnych lub wcale ciemnych pojęć wielkich mas ludnosci.

Paragraf 5. patentu z dnia 7. marca 1849. przyznaje każdemu posiadaczowi gruntu w nieprzerwanej powierzchni najmniej 200 morgów, prawa polowania, większość zatem gmin wiejskich posiada te prawa jako zbiorowy i niczem nieskrępowany właściciel gruntu. Nie wolno jednak gminie jako takiej wykonywać praktyki łowieckiej w myśl §. 5. i 7. patentu z 7. marca 1849. — użytek łowiecki na tych powierzchniach przysługuje gminom tylko na drodze wydzierżawienia zapomocą publicznej licytacyi w dotyczącem starostwie. (Rozporządzenie Ministr. spr. wewn. z dnia 15. grudnia 1852 §. 1.) Juźci przy takich licytacyach pojawia się konkurencya z właścicielem przyległego obszaru łowieckiego, ale rzadko kiedy wychodzi to na dobre gminie, bo taki dzierżawca staje się zazwyczaj zmorą łowiectwa okolicznego

i przystępuje do licytacyi z obmyślanym już z góry planem niszczenia. W interesie gmin leżeć tedy powinno, aby łowiectwo gminne spoczywało w rękach najbliższego właściciela i wykonawcy praw łowieckich, gdyż tylko w ten sposób wartość ogólna łowiectwa zwiększać się może, nie będąc celem rabunkowego wyzysku. Niebezpieczeństwa grożące łowiectwu z licytacyjnej konkurencyi przy dzierżawieniu polowań gminnych miało też niezawodnie na oku rozporządzenie Ministerstwa z dn. 15. grudnia 1852., gdyż według §. 4. tegoż, akt wydzierżawienia podlega zatwierdzenu władzy politycznej, i w myśl §. 10. posiada władza ta bardzo szeroką ingerencyę, bo „wyjątkowo przedłużyć może istniejące kontrakty dzierżawne bez rozpisania publicznej licytacyi".

Wątpię, aby którykolwiek z właścicieli praw łowieckich obojętnem mógł spoglądać okiem na łowiecki obszar gminy, i niezawodnie dołoży wszelkich starań, aby wytworzyć tam taki stan rzeczy, który łowiectwu kniejowemu przez dostarczanie zwierza polowego, może przysporzyć korzyści i podnieść jego znaczenie.

Jeżeli zastanowimy się nad cyframi ubitej zwierzyny na zachodzie, to uderzyć nas musi przedewszystkiem świetny rezultat pieniężny, wynikający z masalnej produkcyi tych zwierząt, które najmniej szkodzą uprawie rolnej i na najskrupulatniejszą opiekę prawa i całej ludności zasługują — tj. zająca i kuropatwy. Dwa te zwierzostany są prawdziwym i dokładnym miernikiem poszanowania łowiectwa i probierzem prawdziwego na polu tem postępu, bo ugruntowanego na zdrowych pojęciach całych mas ludności. Tam, gdzie nie ma tych zdrowych pojęć, może częstokroć jedna chwila złośliwości i głupoty zniszczyć to, co rozumna praca żmudnie w ciągu długich lat wytworzyła. Dalsze też i ciągłe ofiary dla oświaty mas, zniżenie się umysłem wyższych do tej młodszej a tak nieraz w swej niewinności dokuczliwej braci, będą i tu radykalnym środkiem, mogącym nas zbliżyć do stosunków zagranicznych.

Ochrona przed zwierzem drapieżnym jest niezawodnie środkiem racyonalnym i koniecznym, ale nie na wiele się przyda, jeżeli całe bandy pastuszków, istnych sikorek rodzaju ludzkiego, wybierać będą w zawody jaja ptaków, jeżeli łapać będą niezdolny płód zwierząt łownych, przy pomocy znów czworonożnych domowych drapieżców, zawsze głodnych psów, których życie jest jednem pasmem szkód z konieczności.

Wprawdzie bardzo radykalnym jest co do psów §. 17. patentu z r. 1786., jednak czyli w następstwach praktycznym i odpowiednim do częstego stosowania go, to pomimo całej legalności pozwoliłbym sobie powątpiewać. Prawdziwy myśliwy unikać będzie aż do ostateczności strzałów do zwierząt domowych w ogóle, a tembardziej do psów, które nawet w skórze wiejskich brysiów należą do najsympatyczniejszych towarzyszy człowieka. Częstokroć jednak zbyt gorliwi nowicyusze myśliwstwa rozpoczynają swą karyerę biciem całej zgrai winnych i niewinnych Burków, Wilczków, Rozbojów, i t. p. sądząc, że tym czynem wyświadczyli wielką przysługę łowiectwu, a tymczasem rozdrażnili tylko ów żywioł, który i tak stoi na zawadzie wszelkim usiłowaniom podniesienia łowiectwa polnego.

Gran serca i nieco rozumnej preswazyi daleko tu więcej zdziałać potrafią, niż wszelkie represye, które pozostać mogą w zapasie jako przykra ale stanowcza ostateczność.

Warunki naturalne, jakie zwierzyna w kraju naszym spotyka, są jeżeli nie korzystniejsze, to i nie gorsze od tych, jakie panują na zachodzie, a w szczególności w Królestwie Pruskiem, które pozwalam sobie tu wziąć w porównanie z krajem naszym, gdyż cyfrowe zestawienie zwierzyny, ubitej w obu tych krajach w pewnym sezonie myśliwskim, wykaże najlepiej, czem jest łowiectwo w obu tych krajach, i na czem właściwie zyskowność jego polega.

Rzecz naturalna, iż statystyka łowieckich zdobyczy ani nie jest, ani też nie może rościć sobie pretensyi do absolutnej ścisłości, jeżeli jednak cyfry użyte zostaną tylko do porównania, to redukują się znacznie błędy, gdyż je po obu stronach spotykamy. Każda statystyka tego rodzaju grzeszy zazwyczaj cyframi minimalnemi, wiele bowiem nie dochodzi do wiadomości statystyka. Myśliwi po większej części, a osobliwie dzierżawcy, jak wszyscy dzierżawcy, nie lubią się chlubić swą zdobyczą, choćby tylko dlatego, aby nie być pociągniętymi do opłaty większych czynszów, a wreszcie z wrodzonej ludziom skłonności do wykazywania gorszego stanu, niż iest w rzeczywistości. Rolnik nadzwyczaj chętnie żali się nawet wtedy, gdy chlebodajna bogini ze wszystkich źródeł bogactwem mu sypnie; zawsze znajdzie się tam coś fatalnego, jakieś „ale", na które utyskuje, a wreszcie w nie sam wierzy. Myśliwy nielepszy, bo gdy obfita zdobycz już przed oczyma leży, odzywają się wspomnienia jakichś lepszych czasów, w których inaczej bywało. I w tym prądzie ludzkich słabostek trudno dowiedzieć się prawdy.

Do porównania biorę tu rok myśliwski 1885. (a można by bez wielkich różnic wziąć którykolwiek inny) w Prusiech według raportów urzędowych (*Stat. Corr.*), i tenże sam rok w Galicyi, gdzie według wykazów Namiestnictwa ubito ogółem następującą zwierzynę pożyteczną:

Rodzaj zwierzyny	w Prusiech	w Galicyi
	s z t u k	
Jeleni	14.460	39
Danieli	8.543	37
Sarn	108 602	5.362
Dzików	9.019	1.286
Zajęcy	2,367.927	55.429
Królików	314.009	24
Głuszców	378	52
Cietrzewi	6.016	356
Jarząbków	2.209	1.215
Kuropatw	2,521.195	20.001
Przepiórek	102.836	30.688
Bażantów	139.568	531
Słonek	40.891	7.608
Łabędzi	27	—
Pardwi (?)	—	52 *)
Gęsi	3.400	431
Kaczek	269.765	13,964
Bekasów	51.991	14.565
Razem	5,960.836	151.640

Wartość wykazanej tu zwierzyny a ubitej w Królestwie Pruskiem (nie w cesarstwie), na podstawie bardzo niskich cen fiskalnych, oceniają na 12 milionów marek, czyli około 7,000.000 złr., wartość zaś tejże w Galicyi wypośrodkowałem przy pomocy tych samych cen na 160.000 zł. w. a.

*) Są to prawdopodobnie strepety (*Otis tetrax*), albo dropie karły, także niewłaściwie gdzieniegdzie pardwami zwane, podczas gdy pardwą nazywają niemal wszyscy nasi naturaliści *Lagopus albus* (Tyzenhaus, Waga, Taczanowski), Głuszec pardwa właściwa, pardwa litewska. Jest to ptak u nas wcale niepojawiający się, podczas gdy strepet w zachodnich częściach kraju nawet się gnieździ.

Ponieważ powierzchnia Galicyi jest o 4·4 razy mniejszą niż powierzchnia Królestwa Pruskiego (78.496 klm. □ : 347.509 klm. □) powinna by w jednakowych zresztą stosunkach łowieckich wynosić wartość zdobyczy łowieckiej w Galicyi około 1,600.000 złr., a więc 10 razy tyle, niż w istocie wyniosła.

Na 1 klm. □ ubito w Prusiech przeszło 14 sztuk wartości 16 zł. 80 ct., w Galicyi niespełna 2 sztuki wartości 2 zł. 12 ct., ubite sztuki stoją w stosunku 1 : 7 a ich wartość 1 : 8. Wśród zdobyczy myśliwstwa pruskiego stanowią zające i kuropatwy, jak to z tabliczki przytoczonej wynika, główną masę, gdyż blisko 5 milionów sztuk; i jakże mizernie wygląda w obec tej masy cyfra 75.430 sztuk, któremi się w tym samym czasie Galicya wykazać może! Ilość zajęcy i kuropatw w stosunku do cyfry obejmującej resztę zdobyczy ma się w Prusiech jak 5 : 1 w Galicyi zaś jak 1 : 1.

Dalsze rozpatrywanie cyfr statystycznych obu krajów wykazuje, iż w tym samym roku ubito w Prusach 1 lisa na 34 sztuk zajęcy i kuropatw, u nas zaś 1 lisa na 13 sztuk tej zwierzyny, nie mniej, iż w Prusach wypada śmierć jednego ptaka drapieżnego na 24 sztuk tej zwierzyny, podczas gdy u nas zabito jednego skrzydlatego rabusia na 10 sztuk zajęcy i kuropatw, przyczem naturalnie nie uwzględniłem pokaźnej cyfry ubitych w kraju naszym sów (1417!) w tym roku, które również figurują w urzędowym wykazie (Łowiec 1886. str. 118) w rubryce ptactwa szkodliwego, w towarzystwie orłów, puhaczów, jastrzębi i sokołów, mimo to, iż ustawa z dn. 21 grudnia 1874. wcale sów do szkodliwych ptaków nie zalicza. Jak nie rozumiem, po co i w jakim celu ktoś sowy ubija, i takie zdobycze do wiadomości statystyki podaje, tak znów już wcale nie mogę pojąć, w jaki sposób bywają one publikowane w wykazach urzędowych w obec powszechnie znanej rzeczy, iż §. 2. pomienionej ustawy w osobnym dodatku najwyraźniej wymienia w spisie sowy *(Strix)*, oprócz puhacza, jako ptaki „których chwytania, zabijania i sprzedawania zabrania się“. Można się nie zgadzać z ustawową ochroną sowy, dyskusya nad tym przedmiotem ciągle otwarta, ale zabijanie sów, tylko pod wrażeniem szponów strasznie wyglądających i zakrzywionego dzióba, jest wcale nieusprawiedliwione, a tem mniej publikowanie takiej zdobyczy zrozumiałe.

Długoletnie doświadczenie wyrobiło we mnie przekonanie, iż łowiectwu ze strony sów nie grozi wielkie niebezpieczeństwo. Obyśmy tylko innych drapieżców nie mieli! Sowy natomiast spełniają rolę kotów w kierunku pożytecznym daleko dokładniej. Są one rzeczywiście uposażone najdokładniej we wszelkie narzędzia do wykonywania najłatwiej mysiego polowania. Gdzie tylko sowom spokojnie dozwolono się rozmnażać, tam z pewnością i kot stanie się zbytecznym. Czego nie dojrzy wielkie oko sowy, czego niedosłyszy jej wielkie jakby fałd na około oka umieszczone ucho, dające się w miarę potrzeby rozszerzyć, przez co stanowi specyalną charakterystykę tych ptaków, czego nie doścignie jej cichy i tajemniczy lot, a nie pochwyci jej ostry szpon, również szczególniejszą zwrotnością obdarzony — to ujdzie i baczności, choćby tak doskonałego jak kot drapieżnika.

Kot wiejski, ten naprzemian rozleniwiały sybaryta, to znów zapamiętały czciciel Wenery, oddający tę cześć wśród tak nieznośnych miauczeń, iż mogą je znieść tylko zahartowane nerwy ziemianina, i w obec których głosy sów zdawać się może niebiańską melodią — morduje wszystko, co tylko pochwyci i pokonać może.

Niezawodnie, że i sowy, a osobliwie niektóre ich gatunki jak np. często do nas masami zalatująca sowa błotna *(Otus brachyotus)*, lub w lasach podgórskich tak często występująca sowa uralska (*Syrmium uralense)* nie są bez winy; w wycieczkach swych mordują one i rozmaitego rodzaju ptaszki — porywają w wyjątkowych razach bekasy, przepiórki, kuropatwy a nawet jarząbki — lub pustoszą ich gniazda — jednak przeważna część sów naszych żywi się niemal wyłącznie rozmaitego rodzaju myszami i nornikami, a jeden rzut oka na tego drapieżca, w którym jest tyle drapieżnych zmysłów, a mało siły, przekona, że nie urósł on do wielkich dzieł na tem polu.

Na podstryszku dworu w Juśkowicach trzymałem gołębie. Na około, wśród ogromnego parku jakoteż budynków bliskiego folwarku, mieszkało mnóstwo sów i puszczyków, tak, iż nocą sprawiało to wszystko hałas, do którego przyzwyczaić się trzeba było. Pomimo, że okna, gdzie gołębie nocowały, były zawsze otwarte, nie mogłem dojrzeć w długim lat szeregu szkód ze strony sów, pomimo, że pojedyncze sowy wlatywały do gołębnika. Polowały one tam jedynie na myszy, znęcone ziarnem sypanem dla gołębi, a należały przeważnie do gatunku sowy płomykówki (*Strix flammea*).

Lecz ja o sowach dyskutuję, a w Prusiech łupią bez miłosierdzia lisy i ptaki dropieżne. W roku, który do porównania wziąłem, ubito tam 84.301 lisów i 119.694 ptaków drapieżnych, u nas zaś w tym czasie podaje wykaz statystyczny 6.027 lisów i 7.600 ptaków drapieżnych.

Zginął zatem w Prusiech 1 lis na 4 klm. □
„ „ w Galicyi 1 „ 13 klm. □
„ „ w Prusiech 1 ptak drap. na 3 klm. □
„ „ w Galicyi 1 „ „ na 10 klm. □

Cyfry te wraz z poprzedniemi wykazują wymownie, iż tępienie deklarowanych szkodników idzie za granicą nieco energiczniej niż u nas, gdzie oprócz wyjątków, mało kto kusi się o trudniejsze zabicie drapieżcy, zwłaszcza, gdy z niego nawet futra zedrzeć nie może, lub którego w pewnej porze strzeże ustawa. Ptactwo drapieżne mnoży się też w sposób zastraszający, i tylko wyjątki prowadzą nierówną walkę z tą zmorą naszego łowiectwa.

W niektórych miejscowościach kraju istnieją niby lisie raje niewielkie laski, w których literalnie lis wszystko żywe wyżarł i wypłoszył, i na gruzach tych ufundował zbójeckie państwo, skąd w dalekie okolice zapuszcza swe zagony. Polowaniem w takich lisich ogrodach zachwycają się od czasu do czasu amatorowie tego rodzaju wrażeń myśliwskich, a gospodarz gościnny pielęgnuje zwierzostan mykitów dla przyjemności swych gości.

Nie przywiązuję bynajmniej wielkiej wagi do statystyki ubitych drapieżców wogóle, ale to pewna, że w kierunku tym robi się u nas jeszcze bardzo mało. Dopóki cały ogół łowiecki nie podejmie wszelkiego rodzaju starań w celu tępienia drapieżców, dopóki każdy nie będzie przekonanym silnie, iż od tego w wielkiej części zależy postęp łowiectwa — dopóty i inne starania nie osiągną pożądanych rezultatów, owszem narażą na koszta i sprowadzą zniechęcenie. A wcale już nie może być mowy w takich stosunkach o dalszym postępie łowiectwa, aklimatyzacyi nowych gatunków i hodowli importowanego ptactwa łowieckiego.

Praktyka łowiecka zdaje się udowadniać, iż jest rzeczą niemożebną wyniszczenie zupełne drapieżników; owszem, w krajach wysoko pod względem łowieckim stojących i nadzwyczaj w użyteczną zwierzynę bogatych, niebrak i wrogów łowiectwa, które podtrzymują ciągle czujność dotyczącej

straży. „*Tüchtige Raubthiervertilger*“ są tam zawsze bardzo pożądani.

Jeżeli tylko w jakiej okolicy nastąpiło wielkie przerzedzenie lub wcale chwilowe wytępienie drapieżców, to stan ten pocieszający trwa bardzo, niedługo. Wnet wdzięczny i konkurencyi pozbawiony teren nawiedzają nowi przybysze, wnet ściągają się w tę okolicę ptaki drapieżne w pojedynczych egzemplarzach lub parach, i opanowują okolice, nie lubiąc sobie wywalczać bytu w srogich zapasach ze swemi plemiennikami. Przyroda zwraca wówczas całą ich srogość i krwiożerczość ku ofiarom bezbronnym.

Czem okolica w zwierzynę uboższa, czem wyżywienie drapieżnika trudniejsze, tem większe obszary przebiega on za konieczną do życia zdobyczą. Są to okolicę, które Niemcy bardzo słusznie nazywają: „*Eine Gegend wo der Fuchs auf Reisen geht*“.

Mimo wielu tego rodzaju okolic, u nas lisy nie ulegają tak łatwo podróżowaniu, bo trzymają je na miejscu myszy polne, któremi się w takich miejscach niemal wyłącznie żywią. Wyjątkowo więc w wypadkach peryodycznie powtarzających się klęsk popielowych, a przy pustkach w lesie i na polu, lis staje się rzeczywiście pożyteczuym dla kultury krajowej — tak jakby już nie było innych, przynajmniej równie skutecznych środków przeciw myszom!...

Przeciwnie, gdzie żywności dosyć, tam rejony drapieżców stają się coraz to ciaśniejsze; nie potrzeba tu opanowywania wielkich obszarów, w tych małych królestwach dzielą między siebie wygodne panowanie: czworonóg na ziemi a latawiec w powietrzu, sprawdza się spostrzeżenie dawnych myśliwych „gdzie lis tam zając,“ — lecz niemniej jest pewnikiem, iż gdzie lisów niema, tam i więcej zajęcy być powinno i będzie.

Z niespodziewanej strony przyszła pewna pomoc łowiectwu w Prusiech na drodze trudnej walki z ptactwem drapieżnem. Oto w r. 1888. rozporządzenie ministeryalne wyznaczyło większy fundusz na premie za tępienie lotnych drapieżców w celu ochrony gołębi pocztowych, używanych w armii.

Patrząc okiem myśliwego, któremu jastrząb onegdaj porwał ostatnią kuropatwę, okiem ziemianina zmuszonego dzielić się z tą hołotą drobiem wszelkiego rodzaju przez rok cały, nie mogę dosyć wychwalić pomysłu pruskiego ministra, chodzi tylko o to, aby i u nas zwrócono na to uwagę i dopomagano energiczniej do tępienia lotnych drapieżników.

(C. d. n.)

W Indyach.

Z wycieczki myśliwskiej arcyks. Franciszka Ferdynanda d' Este.

II.

Dnia 8 marca znalazł się arcyksiąże na drodze do Nepalu.

„Jakże byłem szczęśliwy — są słowa arcyksięcia — gdym po żółtych, kamienistych, niełądnych polach indyjskiej niziny, powitał znów góry, uwieńczone zielonemi lasami! Skoro wiatr rozwiał mgły poranne, ukazały się błyszczące białością śniegi i lodowce na najwyższych szczytach. I szczególny był to kontrast: nizina o żółtych wyschniętych trawach, dalej wznoszące się nagle niebieskie góry, a ponad niemi majestatyczny, wiecznemi śniegami okryty łańcuch Himalajów!

W miarę jakeśmy się zbliżali ku granicom Nepalu, wzmagała się wegetacya leśna i w końcu przejeżdżaliśmy przez coraz większe, zwarte lasy. Uderzył mnie tu szczególniej jeden gatunek drzewa, którego wzrost przypomina bardzo nasze dęby. Krajowcy zowią je „sal“. Potem przemykaliśmy się przez dżungle na wysokość chłopa, które tu i owdzie wypalają, aby uzyskać lepszą paszę. Liczne tropy świadczyły o obfitości zwierza.

Ujechawszy ze 20 mil, przesiedliśmy się z wozów na słonie i tak dojechaliśmy aż do rzeki, tworzącej granicę między właściwemi Indyami a Nepalem. Tu czekał nas pułkownik Wylie, rezydent Nepalu.

Na brzegu rzeki stało przeszło sto słoni, począwszy od największych z potężnemi kłami, aż do dwuletnich malców. Jest to nasza nagonka. Na odmulisku wśród rzeki ujrzałem trzy olbrzymie krokodyle. Chciałem je koniecznie podejść, lecz nie dotrzymały i plusnęły w wodę, nim zdołałem się do nich na strzał zbliżyć. Zato ubiłem kaczkę.

Prześliczny i bardzo oryginalny był to widok, gdyśmy wraz z całą setką słoni rzekę graniczną Sardę w bród przeprzechodzili. Woda jest w rzece jak kryształ przejrzysta, lecz dość rwąca i głęboka tak, że słoniom aż pod grzbiet podchodzi. Dwuletnie malce słoniowe musiały już płynąć — starsze szły ku prądowi rzeki pochylone, aby utrzymać równowagę. Tak dostaliśmy się do Nepalu, do tego eldorado myśliwskiego, do kraju nietkniętego jeszcze cywilizacyą, na łono natury takiej, jak z ręki Stwórcy wyszła, gdzie wszystko rośnie, rozwija się i ginie, nie zaznawszy, co to regulująca przyrodę dłoń człowiecza.

Wśród gęstych dżungli, lasów i wyrastających tu i owdzie olbrzymów drzewnych, znaleźliśmy obozowisko, do warunków naszej wyprawy zastósowane. Każdy miał swój mały, praktyczny namiocik, a w nim łóżko polowe, stolik i stołek. W około obozowali szikarowie, mahuci i poganiacze wielbłądów, zresztą znaczna liczba krajowców, „kulisów,“ którzy do noszenia, stawiania i zwijania namiotów byli użyci. „Dagna Bagh“ — zwało się miejsce naszego obozowiska.

Skorośmy się rozpakowali, zapragnąłem zaraz pobuszować trochę po okolicy. Pułkownik Wylie wziął więc 50 słoni i poznałem się z napalijskiem sposobem polowania, które z powodu gęstości i wysokości dżungli tylko przy pomocy słoni może być prowadzone.

Miło to patrzeć, jak szybko formują tu linię ze słoniów. Na komendę: „Line Bando!“ szykuje się w momencie szereg słoni w odpowiedniej od siebie odległości, a w howdach strzelcy, i mimo rozlicznych trudności terenu postępuje nagonka tak prawidłowo, jak gdyby na jakiem wymusztrowa-

nem polowaniu na zające w Czechach. I jestto jedyny sposób, ażeby w ogóle przyjść do strzału pośród tych labiryntów trawy, krzewów i wijących się roślin.

Największą trudność dla początkującego stanowi strzelanie z howdy, gdy słoń jest w ruchu. Skoro się zwierz przed słoniem pokaże, lub ptak nadciąga, nie ma już czasu, ażeby słonia powstrzymać, gdyż zmiana ruchu w tej olbrzymiej masie wymaga przecież kilku sekund, trzeba więc, kołysząc się na słoniu, mierzyć i strzelać, co wymaga wprawy i liczne pudła z początku powoduje. Przyzwyczaiwszy się wszakże do balansowania na tym żywym okręcie, można w końcu dojść do jakiej takiej pewności w strzelaniu, i tylko wtedy należy słonia zatrzymać, wołając do mahuta „roko!", jeśli chodzi o bardzo pewny strzał kulą.

W ogóle nadzwyczaj dużo zależy w takiem polowaniu od tego, czy mahut słonia dobrze prowadzi i czy ma zaufanie do strzelca, siedzącego w howdzie. A dziwni zaiste ludzie są ci mahuci. Chociaż się nie zna ich języka, wywiązuje się bardzo prędko sposób porozumiewania między strzelcem a mahutem: „roko!" — stój, „daina" na lewo, „bain" — na prawo, „sidah" — prosto, „bahut achta" — bardzo dobrze! — oto niemal cały zbiór słów, wystarczających, ażeby kierować mahutem, który znów trącając nogą słonia poza uszy lub uderzając kijem, albo ostro okutym „kaszwarem," daje olbrzymowi stosowne polecenia.

Czasem wszakże nie zgadza się mahut z rozkazami myśliwego; wtedy rozpoczyna całe opowiadanie w języku hindustańskim, z którego naturalnie ani słowa nie rozumiesz, i w końcu dzieje się to, co mahut uważa za stósowne; a jeśli pragniesz koniecznie na swojem postawić, to okazuje swe niezadowolenie, lub w najlepszym razie wybucha śmiechem, któremu wszyscy inni mahutowie wtórują, a wesołość ta kończy się wreszcie niedwuznacznemi oznakami lekceważenia dla myśliwego.

W pierwszych dniach polowania jest myśliwy przedmiotem najżywszej obserwacyi mahuta; uważa on na wszystkie jego ruchy, a szczególniej interesuje się tem, czy strzały myśliwego są celne. Skoro myśliwemu uda się kilka trudnych strzałów i mahut oceni, że pan jego umie się z bronią obchodzić — wtedy staje się mahut najgorliwszym pomocnikiem i zawsze umie myśliwego na strzał wyprowadzić.

Mała wycieczka, którą jeszcze wieczorem przedsięwzięliśmy, dała mi sposobność widzieć wiele okazów zwierzyny między innymi jelenia wieprzatego *(Cervus porcinus)*, wiele sępów, sokołów, frankolinów i szakala. O zmroku już prawie powróciliśmy do obozu, oglądając po drodze przepyszny zachód słońca wśród gór.

Piękny to kraj, ta równina leżąca między graniczną rzeką Nepalu a górami Himalaya, znana z obfitości wszelkiego rodzaju zwierzyny łownej, którą tu, nie wyłączając tygrysa, na rozkaz Maharadży ochraniają. Trudno otrzymać pozwolenie na polowanie w tem Eldorado; tylko raz na dwa lub trzy lata odbywają się tu wielkie łowy i wtedy przez kilka tygodni myśliwi przetrzebiają tamtejsze okolice. Ostatnia taka wyprawy odbyła się pod kierownictwem księcia Clarence. Przedtem polował tu książe Orleański a w r. 1875 książe Walii. Oprócz tych większych wypraw, udać się może czasem jakiemuś Anglikowi otrzymać za wstawieniem się rezydenta pozwolenie, a czasem poluje sam rezydent w porze zimowej.

Ta część kraju jednak, obejmująca najpiękniejsze rewiry do polowania, jest z powodu swego niezdrowego położenia i nawiedzającej ją często febry, bardzo nielicznie zaludnioną, a i tę ludność decymują corocznie rozliczne choroby. Rząd chwyta się różnych środków, aby tylko kraj zaludnić, daje bezpłatnie grunta i stara się pobyt osadnikom ułatwić, lecz ostatecznie, z powodu ustawicznie grasującej malaryi, nie doczekał się dotychczas prawie żadnego rezultatu swych zabiegów.

Trudności, jakie się napotyka tutaj w przeprowadzeniu tak wielkiej, jak nasza, wyprawy myśliwskiej, leżą głównie w ubóstwie kraju i niemożności wyżywienia tak wielkiej ilości ludzi i zwierząt. Wyprawa nasza składała się bowiem z 1233 ludzi, 203 słoni, 72 wielbłądów i 140 bawołów z 60 wozami. Bawoły i wielbłądy przeznaczone były do przewożenia naszych rekwizytów i prowiantów.

Jeżeli się tylko zważy, że jeden słoń potrzebuje dziennie 400—500 funtów siana lub trawy i prócz tego 80 funtów innej paszy, i że to wszystko zdaleka trzeba było sprowadzać, można sobie wyrobić pojęcie, ile zachodów i trudów kosztowało wyżywienie takiej karawany.

Dla kuchni naszej sprowadzać musiano wszystko za pomocą słoni z Philibhit z odległości 40—50 mil, gdyż okolica sama dostarczała nam tylko dziczyzny.

Urządzaniem polowania zajmowali się oprócz rezydenta angielskiego wuj Maharadży nazwiskiem Kezar Singh i syn tegoż Prem Schamscher. Pierwszy z nich był pułkownikiem drugi kapitanem nepalijskiej armii.

Ranek d. 9 marca przyniósł nam dobre wieści o tygrysach, które niedaleko obozu kilka cieląt rozszarpały. Wkrótce przygotowano wszystko do łowów. Myśliwi ze sztućcami zajęli miejsca w howdach na wielkich słoniach do polowania, podczas gdy my przebyliśmy czteromilową drogę na słoniach zaprawionych do szybszej jazdy. Słonie te, mając na grzbiecie rodzaj siodła (Padd) poruszają się o wiele szybciej, a jazda taka na większe przestrzenie jest wygodniejszą niż w balansującej howdzie.

Nieopodal miejsca wyznaczonego do polowania musieliśmy czekać na powrót szikarich, wysłanych w celu wytropienia tygrysów.

W tym czasie reszta szikarich pod dowództwem Prem Schamscher'a zajęła się uszykowaniem 200 słoni do polowania. Ustawiono je wszystkie w jeden rząd i był to ciekawy widok, jak te kolosy wszystkie porządnie się szeregowały. Tu można było widzieć stare, ogromne sztuki ze wspaniałemi kłami, których końce corocznie ucinają, obok zaś małe bo zaledwie po dwa lata liczące słonie. Szczególnie pociesznym był jeden z najmniejszych słoni, zwany wśród nas klownem. Drażnił on ciągle różnemi sposobami inne słonie; w ogóle w czasie całego polowania bardzo się niesfornie zachowywał. Skoro tylko ujrzał zwierza, rwał się naprzód, przerywał linię, i trąbił tak, że go kierownik batem przyprowadzać musiał do porządku.

W szeregu tym co dwadzieścia słoni stał zwykle jeden stary, z howdą, który już we wiela wyprawach na tygrysy uczestniczył, a odznaczający się wytrwałością, spokojem i odwagą. Każdy słoń-naganiacz ma na sobie dwóch ludzi, kierownika i drugiego, który drewnianą pałką słonia pogania. W obchodzeniu się ze słońmi, nie są ci ludzie zbyt delikatni, gdyż nieraz się zdarza, że za małe przewinienie zostanie słoń aż do krwi obity i skłuty.

Tak w środku jak i na skrzydłach linii stoją komendanci, utrzymujący porządek, obok zaś na najszybszym słoniu patroluje starszy szikari wydając stosowne rozkazy.

Po półgodzinnem czekaniu, ukazali się wysłani na zwiady szikarowie z wiadomością, iż wytropili tygrysy nie-

nieopodal w zbitej gęstwinie dżungli; każdy z nich wsiadł w przeznaczoną howdę, cała linia zrobiła lewo-zwrot i ruszyła gęsiego ku wskazanym zaroślom.

Najczęstszym drzewem w lasach tutejszych jest wspomniane już drzewo „sala“, owinięte zazwyczaj lianami jak ramię grubemi i tworzące zbity dach liścia. Grunt pod owemi drzewami porasta grubą trawą do wysokości kolan, żółtą a z budowy do naszego sitowia podobną. Tu i owdzie, gdzie drzewa są rzadsze, dochodzi wzrost tego sitowia do takiej wysokości, że dopiero stojąc na słoniu można się w okolicy rozglądnąć. Mnóstwo potoczków krzyżuje się wśród lasów tworząc liczne błotka. Tu zatem, w tej olbrzymiej trawie, czuje się zwierz bezpiecznym i wydeptuje w niej formalne tunele, uganiając się za żerem lub szukając spoczynku. Tu przebywa tygrys i pantera, a z pomniejszych drapieżców szakal, łasica zibetowa i mangusty. Po mokradłach trzymają się stadkami dziki. Z pomiędzy jeleni trafiają się często trzy gatunki: jeleń *aksis (Cervus Axis)*, jeleń wieprzaty *(Cervus porcinus)* o rogach, podobnych do sarnich parostków, i piękny, rudobrunatny m u n t j a k czyli jeleń szczekający (*Cervus Muntjak*). Rzadszymi są: jeleń błotny i sambur. J e ż a t k a c z u b a t a (*Hystrix cristata*) grzebie tu olbrzymie nory, a pojedyńczo trafia się tu i owdzie podobny do świstaka zając ziemny *(Cony)* i zwyczajny, długouchy zając indyjski.

Z pomiędzy ptaków najpospolitszym jest paw dziki, którego tu nie uważają za świętego i dlatego można doń strzelać; są także frankoliny (kuraki), rzadko bardzo kuropatwy błotne, i kura dzika, od której nasze kury domowe pochodzą. Na licznych suchych drzewach, które pośród dżungli sterczą, napotyka się na rozmaite gatunki orłów, sępów i sokołów, podczas gdy wrony i gawrony latają, kracząc około miejsc, gdzie leży padlina. Czasem natrafia się na dzióborożca, na żółtą wilgę z czarną głową, na czerwonego kardynała lub różnopióre dzięcioły.

Z pomiędzy gołębi należy podnieść prześlicznego gołębia o piórach zielonych i fioletowych mocnego metalicznego połysku. Płoche sowy przemykają tu i owdzie swym cichym, zdradzieckim lotem, a zewsząd dochodzi przenikliwy wrzask papug. Małp jest w Nepalu dużo, lecz nie wolno ich strzelać, bo uchodzą za święte istoty.

Jechaliśmy z jakie pół mili w cichości jeden za drugim, gdy naczelnik szikarich skierował jedną część wielbłądów i myśliwych na prawo, a drugą na lewo i polecił jak najprędzej otoczyć pewną część zarośli. Stanęliśmy tedy naprzeciw siebie, utworzywszy istny mur ze słoni około kotlinki wysokich dwumetrowych traw i dżungli, nie mierzącej więcej nad 80 kroków średnicy. Wątpiliśmy bardzo, czy mimo szybkości w zamknięciu pierścienia, w obec hałasu, którýśmy pochodem naszym wzniecili, mógł się na tym szczupłym terenie jeszcze jaki tygrys zatrzymać. Nie sądziliśmy zresztą, aby szikarowie byli w stanie tak dokładnie tygrysa obtropić. Lecz wkrótce miały się rozwiać nasze powątpiewania.

Zaledwo myśliwi zajęli w kole swe stanowiska, puściło się trzech szikarich na szczególnie pewnych słoniach w środek traw. Niebawem jeden ze słoni podniósł trąbę, nastawił słuchy, zatrąbił i skoczył naprzód — znak nieomylny, że natrafił na tygrysa. Ujrzałem też we wskazanym przez niego kierunku, że końce trawy się poruszają, ale tak nieznacznie jak gdyby wąż lub jakie małe zwierzątko dołem się czołgało. Wytężyliśmy oczy i uszy — wszak nie ulegało wątpliwości, że tygrys jest przed nami.

Szikarowie przejeżdżali bezustannie pośród dżungli, i co chwila sygnalizował któryś ze słoni trąbieniem tygrysa — trawa kołysała się coraz bliżej przedemną, ale nic jeszcze nie było widać.

Tak staliśmy z piętnaście minut w najwyższem naprężeniu, lecz w końcu zaczęło tygrysowi być już za ciasno; gdy go jeden ze słoni za nadto nacisnął, poskoczył z rykiem ku stanowisku rezydenta, lecz tu spłoszony krzykiem strzelców siedzących w howdach, rzucił się wstecz i przed szeregiem dwudziestu słoni przedefilował w pełnym biegu. Właśnie chciał się już z powrotem skryć do gęstwiny, gdy go moja kula dosięgła i na miejscu położyła.

Rezydent i mój strzelec widzieli jak tygrysica padła, lecz ja nie byłem tego pewny, gdyż w kilka sekund później stojący naprzeciw mnie St. dał kilka strzałów w gęstwinę. Do czegoż więc strzelał, jeśli tylko jednego tygrysa sygnalizowano? Lecz w tem strzelili także Cr. i P. Począłem się tedy domyślać, że jeszcze jeden tygrys musi być w kotlinie, a w krótce byłem tego pewny, gdyż szikarowie rzekli mi, że ubita przezemnie tygrysica leży na miejscu. Myśliwi stojący naprzeciw mnie zaczęli się naprzód posuwać i padło znów kilka strzałów. I my tedy ruszyliśmy przed siebie, w dżungle.

Zaraz przy pierwszym kroku mego słonia, padł wzrok mój na niewielki przesmyk i ujrzałem przemykającego tygrysa. Strzeliłem i zrulował. Zaledwo zdołałem założyć świeże naboje, widzę znowu w tunelu z sitowia czołgającego się tygrysa. Wołam „Roko!“ na mego mahuta — słoń staje — strzelam — i ku wielkiej mej radości i ten krwawy drapieżca zostaje na miejscu.

Uspokoiło się i w krótce nabraliśmy przekonania, że nie ma już w dżunglach żadnego tygrysa. Zsiadłem ze słonia i przyjrzałem się obu tygrysom, które tak szybko jeden po drugim padły. Niestety miały one już i inne kule w sobie. Przyszedłszy wszakże do tygrysicy ujrzałem, że została na miejscu tylko od mojego jedynego strzału.

Jeszcze jednego małego tygrysa ubił także kapitan F.“

Tak się skończyły te nadzwyczajne łowy, których wynikiem było cztery ubite tygrysy w jednej niewielkiej kotlinie — wypadek zaiste już dziś fenomenalny nawet w najdzikszych krajach Azyi.

Także łowy.

W rzędzie zwierzyny łownej, zajmuje niepoślednie miejsce na tym padole płaczu i śmiechu, także zwierzę dwunożne, przez ojca Darwina, z małpą spokrewnione, a w zoologii pospolicie *Homo sapiens* zwane. Zwierz to zaliczany do omniworów, chociaż objawia się najczęściej jako mięsożerny. Okazy roślinożerne, zwane wegetaryanami, należy stanowczo uważać za myłkusy.

Pojawia się we wszystkich kniejach, gdzie w ogóle ssaki istnieją, a nawet zapuszcza się aż w kraje podbiegunowe. Uczeni dopatrują w nim ras rozmaitych, jak kaukazka,

semicka, murzyńska — dwa wszakże są tylko stany tego zwierza, które na bliższą uwagę łowiecką zasługują, a mianowicie stan jego dzikiej, niepohamowanej wolności, zwany kawalerskim i stan niewolniczej dresury i obłaskawienia, gdy zostanie małżonkiem.

W pierwszej młodości jestto ssaczek bardzo nieporadny, trzyma się mamy i czasem dość długo zajmuje stanowisko maminego synka. Później przychodzi na niego pora, że się stara z pod oka swych życiodawców wymykać, a wtedy otrzymuje nazwę: smyk, łobuz lub lampart i ociera się mimochodem o zapusty abecadlane, gdzie się jeszcze nie zapoznaje z fuzyjką, ale zato z rozmaitemi prętami i trzcinkami.

Gdy tak wyrośnie, że mu już sukni z ojca nicować nie można, staje się szpiczakiem i zaczyna wchodzić w życie praktyczne; idzie tedy do szewca, ażeby się tam uczyć bardzo pożytecznego kołysania dzieci, albo jako pastuch studyuje chów bydła, albo przyczepia się do jakiej fabryki lub handlu, albo wreszcie kieruje się na wielkiego człowieka, jeśli rodzice mają dużo drobnych.

W tym peryodzie rozwoju zaprawia się szpiczak ukradkiem w użycie tytoniu, ponieważ zaś minister finansów ciągle cenę tytoniu podnosi, a szpiczak cierpi zwykle na zbytek niedostatku pieniędzy — więc ucieka się czasem do surogatów z liścia kapuścianego, bo to mniej kosztuje a lepiej w nosie kręci.

Gdy życiodawcy szpiczaka należą do torbaczy, t. j. mają mieszki napchane, wtedy uczy się kilku języków umarłych a kilku żyjących, staje się uczonym i za protekcyą kuzynków mamy lub taty dostaje posadę.

Następuje tu właściwa łowna pora naszego ssaka jako podciołka czyli epuzera; czas ochronny mija, można na niego zastawiać sidła, strzelać zabójczemi oczami i łowić.

Jak długo trwają łowy, zależy to od odporności osobnika; czasem umie się on aż do późnego wieku ochronić od sideł, pastek i wędek rozmaitego rodzaju, a czasem wpada odrazu w pułapkę i leży jak baran na sztrece.

Podobnie jak przy każdej zwierzynie, tak i tu należy przedewszystkiem badać tryb życia epuzera i stosownie do tego zarządzać obławę. Należy podpatrzyć, gdzie zwierz nasz chodzi się poić, czy do piwiarni, czy do cukierni i do której, i na takich „wekslach" trzeba się starać podchodzić go na upatrzonego. Zręcznej łowczyni wystarczy kilka takich spotkań, ażeby zwierza usidlić i do nóg go sobie położyć.

Przy takich pójłach jak piwiarnie, cukiernie i kasyna schodzą się częstokroć młode samczyki gromadnie i tępią dużo płynów, a gorzej jeśli do tego grają wista lub krótkiego. Spotkanie na przesmykach jest wówczas trudniejsze, a zwierz nawyka tak do tych gromadnych zebrań, że nieraz dopiero nad ranem, z okropnym kociokwikiem i zygzakowatemi chodami wraca do swego legowiska.

W takich razach, podobnie jak przy polowaniach na słonie, daje się użyć do pomocy ułaskawiony i węzłami małżeństwa spętany egzemplarz. Wysyła się go do tego i owego pójła, ażeby podciołka wywabił, to na koncert, to na fajf, to do teatru i tym sposobem wprowadził go z bystrookiemi łańkami w styczność.

Przestroga jedna tu nie zawadzi. Do pomocy takiej należy używać tylko młode widłaki, bo mają one tę dziwną naturę, że nie wywabiwszy podciołka, wracają jak najregularniej około 10ej wieczorem, przed t. z. „szperą" do ostoi małżeńskiej. Stare rogacze tymczasem, poszedłszy raz do pójła, siedzą tam czasem aż do samego rana i przykładem swym gorszą młodych i do oporu ich zachęcają.

Takie bywa polowanie przy pójle na upatrzonego.

Inaczej wyglądają łowy na podchodne. Odbywają się one zazwyczaj w kniejach, nazwanych publicznemi spacerami, deptakami, korsami i t. d. Sypie się wówczas ogień rotowy z poza wachlarzy, z pod parasolek, z ławeczek i z powozów, i nieraz śmiertelny grot rani koziołka w komorę, w samo serce — i odbiera mu swobodny żywot kawalerski.

Starsze a odważniejsze epuzery urządzają czasem buszowania na własną rękę i są wtedy niebezpieczne, bo się dopuszczają t. z. flirtu, który łańkom mąci spokój, a nieraz i całe życie im zatruwa. Chytrość epuzerów bywa wówczas tak wielka, że niejeden nabiera zwyczajów lisich, a narobiwszy spustoszeń w sercach, uchodzi nieznanemi przesmykami i jak kitą ślady za sobą zaciera.

Polowanie „z budki," w biały dzień i do księżyca, urządza się w oknach przy pomocy firanek, na parterze a także i z pierwszego piętra. Dawniej łączono je z czułemi serenadami — dziś wyszło to z mody. U pospólstwa odbywają się te łowy „na bramie".

Przechodzimy teraz do najważniejszego i najbardziej rozpowszechnionego sposobu polowania tj. na przynętę.

Główną rolę odgrywają tu starsze łanie, obznajomione ze zwyczajami i słabemi stronami podciołków. Zastawiają one przynętę, którą stanowią: mieszanina, kanapki, herbatka, a w zasobniejszych kniejach kurczęta z sałatą, indyk z kasztanami i inne tego rodzaju „lizanki," które w wysokim stopniu na pokrzepienie sił a więc i na podniecenie uczuć wpływają.

Odbywa się to szczególniej w godowej porze roku, którą zowią karnawałem. W czasie tym siadają niektóre egzemplarze nieco z boku, jedne biorą do łapek krzywe rury blaszane, inne przedziurowione patyki, jeszcze inne jakieś szkatułki z nawiązanemi na wierzchu sznurkami, i albo dmuchają albo skrobią po sznurkach i wydobywają tak czułą melodyę, że aż bębenki w uszach pękają. Jestto rodzaj muzycznej nagonki, przy której dopiero urządza się bardzo ciekawe polowanie kociołkowe, zwane lansierem, kadrylem lub kotylionem, w miarę mniejszej lub większej szybkości ruchów.

Z polowań takich wysuwają się około północy stare bezdzietne rogacze lub łanie, dążąc do swych legowisk, młode wszakże nabierają niezwykłej ochoty do kręcenia się i obejmowania w pasie, a modercze strzały źrenic krzyżują się wówczas beustannie i czynią nadzwyczajne spustoszenia. Podziw wzbudza to nieraz, z jaką wytrwałością kręci się ta młodzież i nigdy zawrotu nie dostaje; skacze i fika niezmordowanie aż do wschodu słońca, a nieraz jeszcze w biały dzień przy gasnących lampach i zrujnowanym blanszu. Jeżeli trafi się przytem wysoki podciołek, który krótką a pulchną łańkę obraca, a ta mu się na prawach siły odśrodkowej to z rąk wymyka to znów koafiurą w kamizelkę uderza, to ma się istny widok dwóch szaraków, co stanawszy słupka obejmą się łapkami i w jasną noc marcową hołubce wycinają.

Karnawał kończy się nieraz tem, że na rozkładzie znajdujesz pary, zabójczemi grotami ślubnemi poprzebijane. Są jednak podciołki, które zadowalniają się tem, że sobie porozwieszają nad łóżkiem japońskie wachlarzyki, kotylionowe kokardki i bukieciki, ale z nieprzeszytem sercem wynoszą się z knici. Takie osobniki, gdy się nieco podstarzeją, zwane bywają pospolicie „froterami".

Do ponęt nadzwyczaj silnych należy także pewna kopalina, zwana *Aureum omnipotens*, która może być zresztą zamieniana na listy zastawne, akcye bankowe i inne papiery wartościowe. Podciołki ściągają nadzwyczaj chciwie do tej ponęty, nie pytając nawet o zalety łańki. Rozmaitemi prze-

smykami starają się do niej dostać i łatwo się chwytają. Zazwyczaj wprawdzie uszy i ogon opuszczają, jak wilczysko, gdy ich węzeł sakramentalny przy takiej ponęcie skrępuje, ale mimo to są niepoprawni.

Najodważniej idą na przynętę złotą nieco starsze widłaki, mające w kniei życia swego dużo przesmyków czyli „weksli“ poplątanych, z których nie wiedzą jak się wykręcić. Takie poplątanie „weksli“ zowią w gwarze łowieckiej „protestem“.

Czasem bywają w kniei porzucane orzeszki nie złote lecz tylko pozłacane. Biada wówczas podciołkowi, który się na nie złapie. Stare pilnują wtedy, aby podciołek zgryzł jak najprędzej orzeszek, bo wtedy już mu się cofnąć niepodobna, a gdy potem chce zamienić pozłótkę, pokazuje się, że nietylko papierów bankowych, ale prostej bibuły za nią nie dostanie.

Oto są łowy, którym najspospoliciej ulega biedny *Homo sapiens*. Gorzej z nim bywa, jeżeli się zapuści w niebezpieczne knieje polityczne, bo czychają tam na niego rozmaite samołówki, ponęty, wilcze doły, tropiciele i nagonki, o jakich się najstarszym szarakom i najchytrzejszym mykitom nie śniło — ale że w takiej kniei zbyt często i niewinny obserwator kark skręcić może, wolimy zamknąć na tych słowach kartę łowów na dwunożnego króla zwierząt.

S.

Z krajobrazów zimowych.

(Sonet).

Zgasło słońce za borem. Mrok... Wśród chmur powodzi
Pławi się mglisty miesiąc i mętną źrenicę
Zwraca w bór, jakby badał kniei tajemnice.
Zwierz wyjrzy z głębi lasu — czas żeru nadchodzi.

W pośród zasp śnieżnych, we mgłach, nastawiwszy słuchy,
Ostrożnie błądzą w polu smukłych sarn gromady.
Przystaną, węszą wokół... Cicho! niema zdrady!...
Więc idą zwolna dalej — snują się jak duchy.

Tam szarak kędyś w pole wymknął się z ukrycia,
Za nim w trop lis podąża chytrze i zdradziecko —
Czekaj, wnet się odegra krwawy dramat życia

I zdławiona ofiara zapłacze jak dziecko —
I znów będzie spokojnie, jak zawsze, jak co dnia...
Uciekasz? Tam krzyk jakiś!... Spełniona już zbrodnia!

Jan Zdora.

Kuna domowa.

W „Miesięczniku gal. Towarzystwa ochrony zwierząt“, podaje p. M. Rybowski szczegóły z życia kuny domowej, którą obłaskawił. Oto jak ją opisuje:

„Ciało ma wysmukłe i gibkie do 70 cm. długie, pokryte siercią płową i białem podgardlem, czarnemi nogami i takim ogonem na 25 cm. długim, który pokrywa włos bujny. Wysoka na 20 cm. Jej głowa mała, ściągła, pysk kończasty; uszy krótkie okrągławe, stojące w poprzek; na górnej wardze szczeciórki zwane wąsami; oczy małe, dosyć od siebie oddalone, które błyszczą w dzień żółtawo, a w nocy czerwono. Zębów silnych ma 38, z których tnące są wydatne, a ząb sęczkowany w górnej szczęce jest w poprzek ustawiony. Szyja gruba. Nogi krótkie, muskularne, żylaste o $^5/_5$ palcach, opatrzonych silnemi pazurami.

Oto wierny obraz mojej kuny domowej — nieodrodnej siostrzycy dziko żyjących — którą od roku utrzymuję. Miałem więc sposobność badać to zwierzątko i porównać moje spostrzeżenia z badaniami przyrodników.

Szczególnie zwracałem uwagę na sposób życia kuny, na zmysły, zmyślność, pamięć, przywiązanie do człowieka i innych zwierząt.

Ma ona zmysły nadzwyczaj bystre. Widzi wybornie w dzień i w nocy. Słyszy najlżejszy szelest, który zaraz zwraca jej uwagę i pobudza do ostrożności. Muzyka nie sprawia jej przykrości jak psom. Przezorność i węch jest u niej nadzwyczajny, podziwienia godny. Z miejsca pobytu może ją wystraszyć każda zmiana, każdy przedmiot podejrzany. Smak ma rozwinięty, bo lubi słodycze i owoce.

Moja kuna jest bardzo zmyślna. Ma dobrą pamięć. Wie o której godzinie jeść dostaje, więc oczekuje mego przybycia. Nim jeść zacznie, okazuje mi swą miłość i wdzięczność różnemi pieszczotami. Siedząc na ramieniu, liże mnie po twarzy, prycha nosem, przewraca się na moim ręku do góry łapkami; to chwyta delikatnie za rękę ząbkami, to wskakuje na ramię, to biega po ziemi. Nacieszywszy się dosyć ze mną, wtedy dopiero spożywa podaną strawę.

Zna swoje imię, więc na zawołanie: Kunuś! przybiega do ręki, albo wskakuje mi na ramię.

Jest to zwierzątko bardzo przyjemne, wesołe i zabawne. Nadzwyczaj zwinne, o ruchach nadobnych. Biega i skacze leciuchno, staje na tylnych łapkach, jak niedźwiedź. Powolnym chodem, biegiem i staniem na tylnych nogach — sprawia wrażenie maluśkiego niedźwiedzia. Wspina się z łatwością na wysokie przedmioty i zeskakuje.

Niektórzy przyrodnicy twierdzą, że kuna, a mianowicie samiec, wydaje woń odrażającą. Otóż przeczę temu. Gdy

kuna zje mysz — to wtedy czuć ją myszą. Nawet odchody tego zwierzęcia nie są wstrętne, bo mają zapach słabego piżma. Zresztą to zwierzątko nadzwyczaj schludne, składa swe odchody w miejscu wyznaczonem. U mnie — gdy ją trzymam w pokoju, ma w kącie tacę z piaskiem. Tam kuna idzie z potrzebą — nigdy mi nie zrobi nieporządku.

Prawie przez cały dzień wysypiała się w mojem łóżku, między kołdrą a poduszką. Wychodziła tylko na przechód i do jedzenia, albo gdy poczuła psa, z którym żyje w wielkiej przyjaźni i figluje. W nocy zaś lubiła się bawić i harce po pokojach wyprawiała. Budziła mnie chwytając ząbkami to za nos, to za palce. Zgryzła także mej żonie pugilares i rękawiczki, dlatego przesiedliłem ją do wozowni, gdzie do tego czasu przebywa urządziwszy się wygodnie.

W wozowni oprócz różnych narzędzi gospodarczych, było naręcze siana, worek kłaków do materacyka na drzwi i stara kołdra dziecięcia. Z nadejściem zimy, kuna postanowiła zabezpieczyć się przed mrozem. Na ziemi rozciągła worek z kłakami, wygryzła dziurę do środka, kłaki rozepchała— i tym sposobem zrobiła wklęsłość w postaci garnka rozdętego. Ten worek przykryła kołdrą, a to wszystko obłożyła sianem. Małym otworem z wierzchu wchodziła do swego gniazda, gdzie miała ciepło. Poznać to można było po oszronionych brzegach otworu — jako też po ciepłocie jej ciała.

Ręki do otworu nie wtykałem w zimie, bo wtedy budowałaby gniazdo niezawodnie w innem miejscu Z końcem marca zrobiła sobie gniazdo otwarte z siana i kłaków, gdzie się też wysypiała. W marcu myślała niezawodnie o ucieczce, celem wyszukania sobie towarzyszki, bo ściany odrapała, drzwi na strych ogryzła, a pod przyciesią dziurę wygrzebała, ale natrafiła na dyl — więc daremna była jej praca.

Otwarłem drzwi na strych, aby tam w sianie myszy wyłowiła. Co uczyniwszy, pomyślała znowu o ucieczce. Wygryzła deskę przy okienku i wyszła na dach.

Przed wieczorem przyszedłem do wozowni i jak zwykle wołam kunusię. Wtem słyszę bieganie po dachu — potem skok — oto kunusia stanęła przedemną. Nie dała się jednak schwycić odrazu, ale uciekając, figlowała, aż ją przecie ująłem. Nie próbowałem jeszcze wypuścić ją na wolność z obawy, aby mi nie uciekła, ale to uczynię, chcąc się przekonać o jej przywiązaniu.

Za pokarm dostaje bułkę z mlekiem, ale kawa lepiej jej smakuje. Na obiad zjada kawałek gotowanej wątroby. Także świeżej wody potrzebuje do picia. Z początku karmiona tylko bułką z mlekiem, nie była zupełnie zdrową, bo miała rozwolnienie Lubi lizać cukier, jeść konfitury i suszone owoce.

Wspominałem, jak moja kuna wygryzła drzwi w powale prowadzące na strych stajni i wskutek tego wydostała się parę razy na dwór, lecz ją ująłem. Aby wycieczki nie powtórzyła, przybiłem na dziurę wygryzioną kawałek cienkiej deski, którą jednak po niejakim czasie przegryzła i znowu się wymknęła.

Nie wiedząc o tem, przyszedłem wieczorem z jedzeniem do wozowni i wołam jak zwykle: Kunuś! Kunuś! — ale kunusia pomimo dłuższego wołania nie przyszła do mojej ręki. Wróciłem więc do domu i zaświeciwszy latarnię, poszedłem szukać ulubione zwierzątko. Za stajnią wołam: Kunuś! Kunuś! Wołanie nie było daremne, bo kunusia do mnie przybiegła i zaraz ująć się dała. Na dziurę przybiłem znowu grubą deskę i byłem pewny, że tą drogą nie ucieknie.

Za parę dni dała mi znać służąca rano o godzinie 6, że kuna biega przy stajni. Poszedłem natychmiast i na zawołanie: Kunuś! Kunuś! zwierzątko przybiegło do mnie i chwycić się dało.

Zaniósłszy ją do pokoju, poszukałem potem drogi, którą się z wozowni wydostała. Jakież było moje zdziwienie nad jej wytrwałością, a nawet rozumem. Oto wyrwała patyk ze skobla, który tak drzwi przymykał, aby ich ze strychu nikt nie odemknął. Po wyrwaniu patyka, skobel opadł, a wtedy ona poza przybitą deskę zaczęła wpychać główkę i tym sposobem drzwi podnosić. Tak to udało się jej prześliznąć na strych, a ze strychu na dach i na ziemię.

W pokoju nie podobało się jej także, bo wybiegała na okno. Po zjedzeniu bułki z kawą — gdzieś zniknęła. Oto wymknęła się do kuchni przez uchylone drzwi, a stąd do sieni i na podwórze.

Gdy spostrzegłem jej nieobecność, wołałem ją w pokoju, kuchni, sieni i na podwórzu. Wtedy zobaczyłem, jak wybiegła z piwnicy i w okienku usiadła, a potem znowu z powrotem skoczyła. Na powtórne wołanie wybiegła na okienko i ująć się dała.

Chętniebym ją oswobodził, ale niestety wolność przypłaciłaby życiem, bo nie boi się bardzo ludzi, więc zabiliby ją niezawodnie, myśląc, że to dzika. Także psy mogłyby ją zagryść, przed którymiby nie uciekała, bo z moim psem żyje w wielkiej przyjaźni. Liżą się wzajemnie, to też i pies za kunusią przepada.

Gdy rano mam iść do wozowni z pożywieniem, to pies spogląda mi w oczy, jakby pytał, czy idę do kuny. Gdy powiem: „Bobuś, chodźmy do Kunusi,“ wtedy psina wystrzeża ząbki jakby się śmiał i biegnąc naprzód, kręci się w kółko z radości. Wywraca się na gniazdo kuny i to wyciera się plecami o nią, to chwyta ją za uszy lub ogon, a kuna mu odwzajemnia“.

KORESPONDENCYE.

Z pod Wieliczki 26. września.

(„Uczeni łowczowie“).

Na jakie karkołomne rozporządzenia narażane bywają nieraz nasze stosunki łowieckie, i jak mało znajomości stosunków i przepisów objawiają czasem same władze, które porządku w łowiectwie przestrzegać są obowiązane, świadczy fakt następujący:

Pismami z dn. 12. kwietnia i 24. maja br. (L. 9117 i 13085) wezwało Starostwo Wielickie p. Henryka Mieroszowskiego, właściciela dóbr Biskupic i dzierżawcę polowania gminnego w Biskupicach, ażeby stosownie do postanowień

§. 13. rozp. min. z dnia 15. grudnia 1852 Dz. ust. p., L. 357 i pod rygorem następstw §. 15 ustanowił ukwalifikowanego, czyli uczonego łowczego do dozorowania tego polowania, względnie by tenże udowodnił swoją kwalifikacyę w c. k. Starostwie. Na to kategoryczne wezwanie przedstawił p. Henryk Mieroszowski dnia 31 maja 1893 zaprzysiężonego leśnego Józefa Kota, donosząc równocześnie c. k. Starostwu, że obszar dworski w Biskupicach nie ma specyalnego, egzaminowanego łowczego i musi się takimi ludźmi posługiwać, jakich kraj daje. W odpowiedzi na to, zawiadomiło c. k. Starostwo rezolucyą z dnia 2 lipca 1893 L. 18588 p. Mieroszowskiego, że ponieważ tenże nie chce ustanowić łowczego egzaminowanego, czyli uczonego do dozorowania polowania na gruntach rustykalnych w Biskupicach i ponieważ przyznaje, że obszar dworski nie ma uczonego łowczego do dozorowania polowania — przeto c. k. Starostwo rozpisuje równocześnie licytacyę względem wydzierżawienia polowania na gruntach rustykalnych i dominikalnych w Biskupicach na dzień 30 listopada 1893.

Na takie *dictum acerbum*, które w sposób iście dowolny sprzęgło dwie różnorodne rzeczy i rozcięło gordyjski węzeł uczonego łowczego w sposób najmniej spodziewany, wniósł p. Henryk Mieroszowski rekurs do c. k. Namiestnictwa, które orzekło co następuje:

„Wskutek rekursu Henryka Mieroszowskiego uchyla c. k. Namiestnictwo rezolucyę c. k. Starostwa z d. 2 lipca 1893 L. 18588 o ile nią zawiadomiono rekurenta, że polowanie na gruntach dominikalnych w drodze licytacyi wydzierżawione zostanie i unieważnia wydane równocześnie zarządzenie co do mającej się odbyć dnia 30 listopada 1893 licytacyi tego polowania, ponieważ zarządzenie takie sprzeciwia się przepisowi §. 5. ces. Patentu z 7. marca 1849 Dz. p. p. L. 154. a właściciel polowania któryby się wzbraniał ustanowić do nadzoru polowania, uzdolnionego myśliwego, może być do tego w myśl §. 15. rozp. min. z 15. grudnia 1852 Dz. pr. p. Nr. 257 znaglony środkami przymusowemi, nigdy zaś polowanie jego własne z urzędu wydzierżawione być nie może.

„Co się tyczy tego ustępu zaczepionej rezolucyi, którą nie uznano Józefa Kota za uzdolnionego do wykonywania dozoru polowania w Biskupicach, zechce Pan c. k. Starosta z uwagi na to, że powołane rozporządzenie ministeryalne bynajmniej nie wymaga, aby dozór nad polowaniem poruczony był egzaminowanym, czyli uczonym łowczym, co rychlej donieść c. k. Namiestnictwu, czy i jakie zarzuty zachodzą przeciw uznaniu Józefa Kota za dozorcę polowania, niemniej czy prawdą jest, że Kot u poprzedniego dzierżawcy był przez 12 lat zaprzysięgłym gajowym i był także używanym do nadzoru polowania.

„Aż do rozstrzygnięcia tej kwestyi należy się wstrzymać z wydzierżawieniem polowania na gruntach rustykalnych w Biskupicach, względnie dany termin odwołać“.

Słuszne i trafne to rozstrzygnięcie uratowało p. H. Mieroszowskiemu polowanie, które inaczej byłoby mu pod pozorem mizernego „Kota“ eskamotowane, ale mimo to pozostaje zawsze otwartą kwestya rozmaitych „Kotów“, którzy najczęściej lepiej się znają na zwyczajach, hodowli i tropieniu zwierza łownego, niż niejeden radca ministeryalny, który czasem sprawy łowieckie przy zielonym stole rozstrzyga, a przecież nie są ani „egzaminowani“ ani „uczeni“.

Rozporządzenia dotychczasowe określają takich „Kotów“ jak następuje: „uzdolnieni myśliwi lub przynajmniej obznajomieni z tem ludzie“ (§. 15 rozp. ministr. z d. 15 grudnia 1852) — „osoby przeznaczone do służby nadzoru leśnego“, które złożą przysięgę co do pełnienia służby myśliwskiej (rozp. min. z d. 2 stycznia 1854) — mają być zresztą „postępowania nieskazitelnego“ (rozp. minist. z d. 1 lipca 1857). Uznanie tego wszystkiego zależy od powiatowej władzy politycznej. Jeżeli więc starosta domaga się „egzaminowanego“ łowczego z jakimś egzaminem myśliwskim, dla którego nie ma ani przepisu ani komisyi egzaminacyjnej — i w dodatku „uczonego“ — to możemy mu zaręczyć, że takiego „Kota“ nie znajdzie w całem królestwie Galicyi i Lodomeryi wraz z W. ks. Krakowskiem i daleko poza jego granicami. Niechże więc pp. starostowie nie bujają po idealnem niebie administracyjnem, lecz raczą zejść na ziemię — a z drugiej strony niech też właściciele polowań cywilizują trochę swoich „Kotów“, ażeby istotnie mieli wyobrażenie o strzeżeniu myśliwstwa, racyonalnej ochronie i hodowli zwierzyny łownej.

R.

Lwów, 28 września.

(Z Tow. św. Huberta).

W drugiej połowie września b. r. odbyło się w Smorzu, w lasach należących do fundacyi Skarbkowskiej, polowanie drużyny Towarzystwa myśliwskiego im. św. Huberta.

W szczegóły bawić się nie będę, zostawiam je dzielnemu łowczemu Smorzańskiemu p. Stanisławowi Piegłowskiemu.

Rezultat polowania świetny. Ubito w 6-ciu myśliwych w trzech dniach przeznaczonych na polowanie: jednego niedźwiedzia, mierzącego 2 metry 10 cm. i dużego jelenia dwunastaka *).

Niedźwiedzia zastrzelił z gładkiej lufy trzylufka (express zawiódł) p. Bieniecki, a jelenia do spółki pp. Dr. Krobicki i Zwolski.

L. D.

Z podgórza karpackiego, we wrześniu 1893.

(Cnoty i niecnoty lisie).

Reputacya mykity, jako mądrego i przebiegłego, jest ustalona; przeszedł do przysłowiów jako symbol chytrości — a przecież czasami zdaje się, że nie ma głupszego zwierzęcia na świecie i wedle przysłowia: „z jednego drzewa krzyż i łopata,“ wypadnie wyrokować, że podobnie jak w każdym gatunku stworzeń, nie wyłączając ludzi, są i w rodzie mykickim mądre i głupie egzemplarze.

Oprócz zalet wrodzonych, zależy tu także wiele od wychowania i doświadczenia. Im częściej bywał lis w ogniu, im częściej spotykał się na linii ze strzelcami, lub czuł na piętach gończaki, tem będzie baczniejszy i przebieglejszy i nie łatwo zawiedzie tę opinię doskonałości, jaką już przysłowie w określeniu „szczwanego lisa“ zawarło. Lecz jakże wielką bywa czasem głupota i łatwowierność lisa, który jeszcze z człowiekiem się nie spotkał i prochu nie powąchał?

Raz — było to w górach, w prześliczny dzień jesienny. Lasy żółkły i czerwieniały, mieniły się w słońcu temi przecudnemi barwami, które jeszcze raz jakby szatą godową okrywają naturę, zanim zamrze w uściskach mrozu i pod białym całunem śniegów. Rosy już dawno obeschły, w powietrzu poczęła się snuć przędza Matki Boskiej, a ja znużony dłuższem buszowaniem rzuciłem się na trawę, oparłszy dubeltówkę o buka, odległego o jakie dziesięć kroków. Łyk z manierki i kawałek paprykowanej słoniny z chlebem smakowały mi bardzo — jeszcze raz pragnąłem sięgnąć do manierki, gdy wtem zwrócił uwagę moją mykita, wychylający się z po-

*) Nie wątpimy że się znajdą na Wystawie krajowej. Przyp. Red

bliskich krzaków. Nie było już czasu rzucić się do lankastrówki, siedzę tedy nieruchomy i patrzę, jak lis prosto na mnie sznuruje. Przyszedłszy na dziesięć kroków do pobliskiego buka, obwąchał na około moją dubeltówkę, poczem zwyczajem psów podniósł tylną łapę i zostawił mi nieco wilgotną... kartę wizytową. Obruszony tą impertynencyą, skoczyłem na równe nogi. Wtedy lis spojrzał na mnie zielonemi oczami i nie spiesząc się zanadto, znikł w krzakach.

Czyto był nadmiar zuchwalstwa, czy naiwność?

Innym razem zeszedłem lisa na kilka kroków w chwili, gdy skakał na krzak, chcąc stamtąd ściągnąć gniazdo ptasie. Tak bardzo był zajęty tą operacyą, że ani mnie nie zwietrzył, ani nie słyszał, choć szedłem dość hałaśliwie. Ten swoją nieostrożność przypłacił futrem i pokazało się, że był to mykitka młody, który jeszcze nie odbył akademii przebiegłości.

Twierdzą niektórzy, że w rodzie mykitów lisica przebieglejszą jest od lisa; odbierają tem samem monopol rodowi ludzkiemu, gdzie „ona“ zazwyczaj więcej ma sprytu niż „on“. Nie umiałbym tego potwierdzić z własnego doświadczenia, lecz owszem mam do opisania wypadek, w którym pani mykitowa nie odgrywa roli bardzo sprytnej i przezornej istoty.

Miałem stodółkę, która przytykała prawie do skraju lasu. Przechodząc pewnego razu koło niej, spotrzegłem świeżą norę lisią, która widocznie pod zrąb i podłogę stodółki podchodziła. Zaznaczyłem sobie odkrycie to w pamięci, i gdy nadszedł koniec kwietnia, kazałem oderwać podłogę w stodółce i wygrzebałem czworo młodych lisiąt. Starej nie było, a winienem dodać, że mogliśmy ją łatwo rozpoznać, bo miała tylko połowę kity, straciwszy drugą w żelazach.

Nieprzezorna czy zbyt lekkomyślna matka, nie pomiarkowała się jakoś, kto jej młode zabrał, bo następnego roku zawitała na lęg do tejże samej nory. Tym razem pozwoliłem jej wychować młode aż do tej chwili, gdy je poczęła przed norę wywodzić i edukować. Ukryty w stodółce przypatrywałem się im niejednokrotnie i wzbogaciłem bardzo me spostrzeżenia co do życia lisów — aż w końcu wyprowadziłem moją parę jamników do walki z sześciu dorostającymi już rabusiami i tak się zakończyła ta lisia idylla.

Starej, łatwej do rozpoznania po krótkim ogonie, dawaliśmy pardon na polowaniach; doczekała więc następnej wiosny i — o dziwo! — jeszcze przez dwa lata pomiatała młode w tejże samej norze, niepomna, że je zawsze w tragiczny sposób traciła. Nareszcie znalazła się sama na rozkładzie.

Czyż tu można mówić o szczególnych objawach inteligencyi u lisa? A gdzież pamięć? A gdzież nauka doświadczenia, jeśli przez pięć lat nie mogła się zmiarkować, co jej grozi, jeśli będzie w tej samej norze pomiatała? Lub może płochość wiodła ją do tego, aby tracić dzieci i uwalniać się od troski żywienia i wychowania?

Co do trosk rodzicielskich panuje między myśliwymi przekonanie, że tylko lisica stara się o wyżywienie młodych, a lis bywa obojętnym i zupełnie potomstwo swe zaniedbuje. Zgadzam się pod tym względem z panującą opinią, bo sam to zauważałem.

Pewnego razu widziałem jak lis, trzymając ptaka w pysku, umykał przed lisiętami, nie chcąc się z nimi łupem podzielić. Co do płci tego lisa, nie mogłem być w wątpliwości, bom go sprzątnął, przed tem, nim jeszcze ujść zdołał.

Innym razem, ubiwszy młode lisię przed oknem nory, ukryłem się w krzakach i czekałem, czy stare nie przybędą. Po pewnym czasie pojawił się w istocie stary lis, począł wietrzyć, a ujrzawszy zabite lisię, zabrał się bez ceremonii do jego skóry i mięsa. Oburzony tym lisim kanibalizmem, zaaplikowałem operatorowi kilka ołowianych pigułek i przekonałem się, że to był samiec.

Z tych i innych spostrzeżeń mam więc prawo przypuszczać, że lis jest niedbałym ojcem, a nawet „*vulpofogiem*“, który własny płód pożera — chociaż przyznać muszę, że trafiają się także i takie wypadki, że nietylko samica ale i samiec żer młodym przynosi. Prawdopodobnie dzieje się to tylko wtedy, kiedy już sam jest najedzony; resztkę swej zdobyczy, zamiast gdzieś ukryć, oddaje wtedy wspaniałomyślnie młodemu pokoleniu.

A może różnica ta w zachowywaniu się lisa ma głębsze swe powody? Wiadomo, że pani mykitowa nie odznacza się wyszukaną wiernością małżeńską. Zdarzało się nieraz, że w porze godowej, około jednej samicy, dwa i trzy samce znajdywano. Czy może więc lis być pewnym, o ile jest ojcem swych dzieci? A nuż pomawia połowicę o niewierność i tem swą niedbałość względem potomstwa tłumaczy?

Około jednej dobrze mi znanej nory, spotykałem nietylko lisicę, lecz czasem także lisa. Umyślnie więc ubiłem matkę, chcąc się dowiedzieć, co ojciec pocznie. Niestety, okazał się ojcem potwornym. Kręcił się około nory, lecz nie dostarczał młodym żywności, mimo iż skomlały i piszczały żałośnie. Piątego dnia, widząc, że lis nic sobie z jęków swego potomstwa nie robi, kazałem norę rozkopać. I cóżem znalazł? Oto trzy liski były jeszcze przy życiu i wcale nie źle wyglądały, ale z dwóch zato zostały tylko ogony i łapy poobgryzane. Dwa słabsze uległy więc silniejszym i swą śmiercią utrzymały je przy życiu.

Są to wymowne dowody drapieżności lisa, która i tem się dokumentuje, że lis właściwie nigdy oswoić się nie da. Zrazu miły, przyjaźny, roztropny, dziczeje w miarę wzrastania, wymyka się z najciaśniejszej obroży, aby zakraść się do kurnika, kradnie i morduje, a gdy przyjdzie czas rui, to zmyka nieodwołalnie do lasu, zapominając o wszelkich staraniach cywilizacyjnych, które człowiek około niego łożył.

Raz, chcąc po wielu daremnych usiłowaniach dochować się koniecznie całkiem obłaskawionego lisa, kazałem wykopanego z nory w czwartym tygodniu życia wyczyścić. Przebył operacyę wyśmienicie i zdawało się, że drapieżna lisia natura uległa w tym kastracie zupełnej przemianie. Stał się bardzo łagodnym, wesołym ale nie gwałtownym i nad wyraz do mnie przywiązanym. Chodził jak pies za nogą na spacer, spał przy łóżku, żywił się tak jak pies mlekiem, osypką, chlebem i zatracił w sobie drapieżne popędy do mięsa i krwi. Tak dożył czterech lat.

Byłem już pewny zwycięstwa nad lisią naturą, gdy mi wypadło wyjechać na kilka miesięcy i zdać mego lisa na służbę. I cóż się stało? Mykicie zaczęto rzucać mięso, kości, myszy — i wkrótce zasmakował w tem jedle do tego stopnia, że jął się sam dobierać do kurcząt i kaczek. W pół roku był już skończonym złodziejem i rabusiem. Gdym wrócił, nie mogłem poznać spokojnego ongi mykitki, który nawzajem i do mnie stracił zaufanie i uczucia przyjaźni. Nie zdołałem go już wziąć w kluby, a że urządzał istne hekatomby po sąsiednich kurnikach, więc go spotkał los spodziewany: jakaś rozsierdzona gosposia zatłukła go widłami na progu kurnika.

Później zdarzyło się, żem chodował parę lisią i udało mi się ją w niewoli do parowania doprowadzić. Lis okazał się nienasyconym w swych chuciach, tak, że go w końcu

pani mykitowa zębami od siebie odpędzała. Przestał więc stroić do niej koperczaki, ale zato zwrócił się z zalotami do grzejącej się suki legawej, którą umyślnie trzymałem na uwięzi, aby ją ochronić od incestu. I otóż zbrodniarz mykita potrafił tam swe afekta ulokować, a wynikiem tego było pięcioro szczeniąt, z których troje tylko barwą sierci zuchwałego rodzica przypominało. Z ciekawości chowałem tych troje, lecz przekonałem się, że oprócz wrodzonej żyłki do kradzieży, nie odznaczały się szczególnemi cnotami i nie znały właściwie nigdy, co to jest posłuszeństwo. Oprócz maści, charakterystyczną cechą w ich budowie była źrenica, która nie ściągała się całkiem prawidłowo, tj. okrągło, lecz przy nagłem oświeceniu oka zawsze podłóżną przedstawiała szparę.

Samica z tego pomiotu bastardów okazała się płodną; miała po psie szczenięta, które już zupełnie do form psiąt wróciły, choć zawsze jeszcze barwą sierci pokrewieństwo swe z lisem przypominały.

Wartoby było popytać między druhami myśliwskimi, czy który próbował krzyżowania lisa z psem i z jakim skutkiem? Wątpię, czyby się z tego coś pożytecznego dla sztuki myśliwskiej dało wydobyć, gdyż niecnoty lisie są zbyt silne i zawsze dobrą naturę psią zakażą. *W.*

KRONIKA.

Polowania kniejowe już rozpoczęte. Przypominamy więc wszystkim szczerze kraj miłującym myśliwym, że najpiękniejsze okazy zwierząt, które padną, trofea łowieckie, kolekcye kłów dziczych, wieńce, rożki, myłkusy powinny powinny się znaleźć na powszechnej Wystawie kraj. r. 1894. Kto jest prawdziwym miłośnikiem łowów, ten powinien czuć szlachetną dumę, ażeby myśliwstwo nasze stało się najwspanialszą i najbogatszą grupą przyszłorocznej Wystawy. A wypadnie pomyśleć i o tem, aby imponowało nietylko pięknością luźnie zebranych okazów, lecz także instrukcyjnym, wszystkie działy łowiectwa obejmującym układem. Więc preparaty anatomiczne, czaszki i różne stadya rozwojowe zwierząt łownych, odciski tropów, pomioty zwierzęce, okazy szkód przez zwierzęta poczynionych, jaja, gniazda, zniesienia ptaków, i t. d. i t. d., należy przy zbieraniu okazów uwzględniać. Broń dawna i dzisiejsza i wszelkie przybory myśliwskie, odznaczające się pięknością artystyczną i niezwykłą konstrukcyą, przyrządy kłusownicze, statystyczne zapiski większych łowów, ciekawe ryciny i obrazy odnoszące się do historyi łowów, kopalne szczątki zwierząt łownych, stare gobeliny ze scenami łowieckiemi i t. d. — oto przedmioty, które także w jak najpiękniejszym komplecie powinny się zgromadzić na naszej Wystawie.

A któż to zrobi, jeśli nie nasza najmilsza brać myśliwska? Panowie delegaci zaskarbią sobie wdzięczność całego świata łowieckiego, jeśli przyłożą rękę do tego, aby łowiectwo w całej pełni i potędze na Wystawie naszej było reprezentowane. — Dalej więc do dzieła! — bo czas ubiega.

Zrąb pięknego pawilonu leśno-łowieckiego wstaje już na placu Wystawy, w miejscu bardzo uroczem, obok znakomicie obmyślanych leśnych kultur strefowych gal. Towarzystwa łowieckiego, i przeprowadzonych w sąsiednim jarze okazów zabudowania dzikich potoków, które na polecenie ministerstwa rolnictwa są wykonywane. Danym więc będzie łowiectwu godny przybytek i tylko od energii naszej zawisło, aby rzecz wspaniale wypadła.

W Królestwie polskiem, w skutek starań Towarzystwa racyonalnego polowania, obostrzono przepisy, dotyczące polowań. Strażnicy ziemscy otrzymali polecenie, aby od wszystkich myśliwych, spotykanych z bronią na polach, żądali okazywania świadectw na prawo polowania. W powiatach skierniewickim i łowickim kilku myśliwych, pomimo, że właściciele gruntów pozwolili im polować i mimo posiadanych pozwoleń na broń, pociągnięto za brak wzmiankowanych świadectw do odpowiedzialności. Należy dodać, że myśliwi, którzy nie wyjednają dla siebie świadectw na prawo polowania, oprócz odpowiedzialności, narażają się na utratę pozwoleń na broń.

Wilki. Z powiatu wilejskiego donoszą, że w Soninie mnóstwo szkód robiły ostatniemi czasy wilki, które później wytępiono sposobem następującym: Głodna wilczyca porwała prosię na polu. Pastuch, silny, 22-letni chłopak, tak trafnie uderzył wilczycę kamieniem w głowę, iż ogłuszone zwierzę padło i zostało następnie dobite drągami. Zgłodniałe wilczęta po utracie matki zaczęły wyć żałośnie i tym sposobem zdradziły miejsce swego pobytu. Wilczęta zabito.

Deszcz owadów. W połowie września obserwowano w Kursku niezwykłe zjawisko. Rano w ciągu dwóch godzin spadły masy mikroskopijnej wielkości owadów koloru pomarańczowego, niebieskiego i czarnego. Arkusz czystego papieru na świeżem powietrzu w kilka chwil zmieniał kolor. Przez szkło powiększające można było dostrzedz na nim miliardy owadów. Rośliny i dachy domów przez dłuższy czas zabarwione były kolorem niebiesko-pomarańczowym.

Przepiórki pojawiły się tego roku bardzo obficie w Anglii i w Irlandyi, podczas gdy przylot tych ptaków do Algieru i Tunisu nadzwyczaj był słaby. Niezwykłą okazuje się także płodność przepiórek, które się na białym Albionie i zielonym Erynie osiedliły; conajmniej 8 do 14 jaj znajdowano w gniazdach, trafiały się wszakże i gniazda, w których biedne przepiórki po 22 jaj wysiadały.

Wędrówka zwierząt. Z Astrachania donoszą o szczególnej wędrówce susłów z pow. carewskiego do innych okolic. Wychodźtwo to, którego powody nie są wiadome, odbywa się tak tłumnie, że rozstawieni z kijami po polach i drogach ludzie powstrzymać tych gromad nie mogą. Pola, przez które przechodzą, zostają zniszczone do szczętu. W niektórych miejscowościach udało się zmusić susły do zmiany kierunku, lecz w innych bezskutecznie włościanie walczyli z niemi. Tysiące padło pod kijami, mimo to uporczywe zwierzęta nie dały powstrzymać się od wychodźtwa.

W Bośni i Hercogowinie, w pięcioleciu od 1888 do 1892 ubito 3785 młodych i starych wilków i 540 niedźwiedzi. Pokaźna zaiste, suma, świadcząca, że nie rychło dosięgnie grot cywilizacyi ostatniego mysia w kniejach tamtejszych.

Małpy na Gibraltarze Jak wiadomo, skały Gibraltaru są jedynem miejscem w Europie, na którem małpy żyją w stanie dzikim. Według doniesień dzienników, liczba ich obecna wynosi 38 sztuk. Zamieszkują one głównie pochyłość zachodnio-południową, tuż koło posiadłości gubernatora twierdzy. Obawiają się obecnie, że w razie zbytecznego rozmnożenia się małp, może dla nich zabraknąć pasz y jak to już raz, przed kilku laty się przytrafiło. Małpy wtedy, połączywszy się w gromady, zbiegły ze skał na doliny i splądrowały z kretesem sady i ogrody, tak, że właściciele musieli kilka z nich zastrzelić, a resztę najeźdźców wyprzeć do dawnych ich siedlisk. Ponieważ na skale nie ma nigdzie wody, małpy więc muszą kontentować się rosą i opadami deszczowemi. Zwykle gaszą pragnienie figami, których mnóstwo tam rośnie. Ale w lecie zdaje się, że nie wystarcza im to, gdyż przy wschodzie i zachodzie słońca schodzą do studzien i lagun, żeby się napić. Obecnie małpy przebywają spokojnie na skale, gdyż rząd angielski zakupił ostatni ten kawałek na skale wyższej, należący dotąd do osoby prywatnej, tak, że dziś nikt obcy chodzić tam już nie może.

Odporność zwierząt przeciwko truciznom. Prof. Guinarel robił niedawno doświadczenia z morfiną na kozach a wynik tych prób jest zaiste bardzo ciekawy. Kiedy dla człowieka wystarczają przeciętnie dwa centigramy tej trucizny, aby zasnął, dla kozy potrzeba jej nierównie więcej. W pierwszym wypadku dano kozie dawkę, od której zasnęłoby 400 ludzi, drugiej kozie dano dawkę, wystarczającą dla 425

ludzi, a w trzecim aż dla 975 ludzi. Symptomy otrucia są inne, gdyż u kóz morfina nie działa na system nerwów mózgowych, jak to ma miejsce u człowieka.

Jad węża nie szkodzi zupełnie jeżowi. Można go także bez szkody karmić kantarydami. Odporność przeciw jadom zwierzęcym tłumaczy się tem, że jeż, żywiąc się chrząszczami i innemi owadami, płazami i gadami, przyzwyczaja się powoli do trucizn pochodzenia zwierzęcego, podobnie jak u zwierząt roślinożernych króliki są oporne przeciw wilczej jagodzie i innym roślinom trującym. Również żaby są odporne na trucizny z chrząszczy pochodzące. U jeża idzie ta odporność jeszcze dalej, stwierdzono bowiem, że jest on także odpornym na najsilniejszą truciznę organiczną, t. j. na kwas pruski, tak przy wprowadzeniu trucizny do żołądka, jakoteż przy podskórnej injekcyi. Prof. Harnack przekonał się, że dawka sinku potasu, która w 4 minutach zabiła kota 2 klgr. ważącego, nie szkodziła wcale jeżowi, zwierzęciu stosunkowo małemu, a nawet pięć razy większa dawka nie zdołała tego zwierzęcia uśmiercić, wywołując tylko znaczniejszy upadek sił.

W niemniejszym stopniu spotykamy odporność tę u ptaków. Kuropatwa, gołąb, bażant i t. p. może bez uszczerbku dla zdrowia zjeść tak wielką ilość w arszeniku moczonej pszenicy, jaką strułaby się rodzina złożona z kilkunastu osób. Kura znosi trucizny, zawarte w chrząszczach. Ślimaki z wód słodkich mogą długi czas żyć w wodzie sztucznie zatrutej. Zjawiska te wprawdzie stwierdzono, ale przyczyna ich pozostaje dotąd niewyjaśnioną.

Bunt słoni. Pisma amerykańskie opisują prawdziwie ciekawe zdarzenie, zaszłe w menażeryi w Bridgport (w stanie Connectitut), która to menażerya posiada między innemi dwanaście słoni. Nadzorca tej menażeryi kazał zaprządz parę słoniów do wagonu ulicznego, który miał przewieść pewną ilość ciężarów z jednego końca miasta na drugi. Otóż z powodu masy śniegu, spadłego w ciągu nocy, droga była bardzo ciężka i biedne zwierzęta energicznie poczęły protestować przeciw takiej poniewierce, wydając ryk przeraźliwy, którym chciały wezwać na pomoc towarzyszów, znajdujących się w menażeryi. Apel nie pozostał bez skutku. Jeden z najpotężniejszych słoni tak się oburzył na ten obowiązujący, ordynarny czyn ludzkiej przemocy, że wstrząsnął się konwulsyjnie i zdołał skruszyć żelazne pęta, poczem popędził jak szalony na pomoc. Pozostałe słonie nie były tak silne jak towarzysz i daremnie usiłowały się wyzwolić, napełniały więc tylko strasznym rykiem całą menażeryę. Widząc co się dzieje, nadzorca kazał dwom podwładnym, aby udali się do słoni w charakterze deputacyi i aby trzymali się o ile można pojednawczej taktyki. Nie dobrze wyszli na tem panowie deputaci, zaledwie bowiem zbliżyli się do największego słonia Toma, ten powalił ich trąbą na ziemię. I byłby ich na pewno podeptał, gdyby nie inny dozorca, który przy pomocy krzywego pręta żelaznego zdołał Toma od dalszych kroków nieprzyjacielskich powstrzymać. Prawdziwy spokój osiągnięty został dopiero wtedy, gdy obdzielono zbuntowanych obfitemi porcyami rzepy i marchwi.

Mowa małp. Wspominaliśmy już niejednokrotnie o badaniach profesora Garnera w Ameryce nad mową małp. *Westminster Budget* zamieścił obszerny list profesora ze stanowiska jego obserwacyjnego, które znajduje się w Afryce, na południe od Ogoué, w kraju noszącym na mapach nazwę Ternao Vaz, w języku miejscowym zaś Eliooué N'Kami, między jeziorem tejże nazwy a rzeką Rembo. Tam to, w lesie dziewiczym, w oddaleniu dwóch kilometrów od wszelkiej ludzkiej siedziby, wśród bananów, któremi małpy z upodobaniem się żywią, znajduje się klatka profesora Garnera, niejednokrotnie już wspominana, a nazwana przezeń „Fort-Goryl". Badania profesora Garnera nie zostały dotychczas uwieńczone pomyślnym skutkiem. Zapewnia on wprawdzie, że goryle mówią, tylko — nikt tej mowy zrozumieć nie jest w stanie. Profesor nie rozpacza wszakże i jest przekonany, że sztukę tę posiędzie. Garner zabrał ze sobą różne świstawki, fleciki i t. p. naśladujące pewne krzyki, które już poprzednio zaobserwował u gorylów. *Westminster Budget* zamieszcza rysunki owych instrumentów: jest ich dziesięć, a z tych cztery odtwarzają krzyk, oznaczający głód, piąty krzyk miłosny, szósty, krzyk powitania, siódmy, krzyk przestrachu, a dwa pozostałe dźwięki jeszcze nierozpoznane. Garner opowiada w liście wspomnianym różne szczegóły z życia gorylów, utrzymuje, że mają one króla, że odbywają pod jego prezydencyą narady: rozmowy ożywione toczą tylko, gdy są w licznej gromadzie, skoro jest ich kilka, są nader małomowne.

Profesor Garner nie wierzy historyom opowiadanym o gorylach, jakoby wypijały krew człowieka, którego zabiły i mogły zdruzgotać zębami lufę strzelby. Wszyscy krajowcy powtarzają te opowieści bez najmniejszej zmiany, a p. Garner dopatruje się w tej jednostajności właśnie dowodu legendy, i to legendy, w której „czuć silnie człowieka białego jako autora". Legendą także są według niego wszelkie historye o porywaniu kobiet i dzieci przez goryle; jedyną rzeczą prawdziwą, to ich dzikie instynkty i wielka siła fizyczna.

Ciekawe podanie miejscowe o pochodzeniu człowieka i goryla znajdujemy między innemi w liście profesora Garnera: Krajowcy opowiadają, że Einyambie (Bóg) miał czterech synów, którzy żyli z nim w nadpowietrznej siedzibie, i że trzech zeszło na ziemię, zostawiając najstarszego przy Einyambie. Z tych trzech jego synów jeden osiedlił się w mieście, dwaj zaś w lesie. Lecz niebawem ci dwaj pokłócili się, młodszy sam pozostał w lesie i ten stał się gorylem. Starszy osiedlił się przy bracie i został ojcem *bushmen*'ów, (ludzi żyjących w zaroślach), gdy potomkowie tego, który zbudował miasto, są „ludem" reszty świata. Takie jest pochodzenie trzech ras, blisko ze sobą spokrewnionych, mówią mędrcy z Galoi. Goryl jest według zapewnienia profesora Garnera, zwolennikiem poligamii, ale gdy sobie weźmie żonę, zatrzymuje ją przez kilka lat i dochowuje jej wierności małżeńskiej. Takie same mniej więcej są stosunki matrymonialne między krajowcami, tylko, że goryl stoi wyżej, według prof. Garnera, albowiem nie sprzedaje swej małżonki, jak to powszechnie czynią mężczyźni miejscowi. Króla gorylów nazywają krajowcy Ekombo-N'jina.

Zemsta bocianów. Parobek H. z C. nie mógł się doczekać, pomimo skończonych 25 lat, wąsów i brody. Martwił się tem nieborak, aż wskutek rady przyjaciela udał się po radę do „mądrej". Jejmość ta poradziła mu, ażeby chwycił młodego bociana, który jeszcze z gniazda nie wyleciał, wysmarzył tłuszcz z niego i smarował się tym tłuszczem, a w dwa tygodnie urośnie mu broda! Ucieszony parobek zabrał się do wykonania rady „mądrej" i ściągnął z gniazda na dach młodego bociana, to atoli nie podobało się starym bocianom, więc uderzyły na napastnika i tak długo obrabiały, dopóki krwią zalany nie spadł z dachu. Ale i teraz uderzyły mściwe ptaki na nowo na wyczerpanego z sił chłopa, który tylko dzięki pomocy swego pryncypała uszedł z życiem.

Psi figiel. Pismo „Diana" opowiada następujący, jak zapewnia, całkiem prawdziwy psi figiel.

W pewnej gospodzie żyją w czułej przyjaźni duży pies i szpak. Przejeżdżający podróżny przypatrywał się z zadowoleniem, jak szpak skakał po psie i dziobiąc, przepłaszał mu pchły w futrze. Doszedł w swych poszukiwaniach aż do głowy, ale tu jął już tak silnie pukać, że się to psu sprzykrzyło — hapnął raz tylko i biedny szpak zniknął w psiej gardzieli. Podróżny oburzył się na tak ohydną zdradę przyjaźni i zwraca się, aby to gospodarzowi oznajmić — gdy wtem pies, przewróciwszy się spokojnie na bok, otwiera pysk, a z pyska wylatuje skrzeczący szpak z oślinionymi piórkami i chowa się w kącie. Gospodarz wyjaśnił ze śmiechem podróżnemu, że to nie po raz pierwszy zamknął pies szpaka do aresztu za zbyt dokuczliwe pukanie po głowie.

Sekretarz i Skarbnik gal. Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zimorowicza 7.

TREŚĆ:

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.